

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 6 listopad 1949 r.

Nr 44 (206)

List otwarty do katolików w Niemczech Zachodnich

Od chwili zakończenia wojny z napięciem i uwagą obserwujemy rozwój wydarzeń w Niemczech. Szukamy objawów, które pozwoliłyby zorientować się, jakie kierunki zwyciężają w naszym kraju, to znaczy, czy Niemcy potrafią odnowić i ożywić swe jakże pamiętne i wspaniałe tradycje europejskie, czy też — czego obawia się cały świat kulturalny — zechcą kontynuować polityczną i kulturalną linię Hohenzollernów, Bismarcka i Hitlera. Jako katolicy, Europejczycy i Polacy pragniemy gorąco, by spełniła się możliwość pierwsza.

DLATEGO z niepokojem patrzymy na pewne fakty, które mają miejsce w Niemczech Zachodnich, a które świadczą o odradzeniu się tam tradycji pruskiej buty i imperializmu. Tragiczny to objaw, że w kilka lat po zakończeniu najkrwawszej z wojen możliwe są takie zdarzenia, jak rewizjonistyczne i odwetowe przemówienie posłów w Bonn, lub jawnie odbyty w Wessel zjazd byłych żołnierzy dywizji spadochronowej, w czasie którego śpiewano „Horst Wessel Lied“.

WIELKI żal i sprzeciw budzi w nas fakt, że między podżegaczami do wojny, wśród głosów, powtarzających dawne nieszczęsne tradycje antypolskie, słyszymy głosy nie tylko waszych przywódców świeckich, jak Heuss, Adenauer, czy też J. Tielmann i E. Püschel, lecz nawet i osób duchownych, że wymienimy tylko księdza prałata dr Mense, ks. Reichenbergera, czy księdza Diehla, nie liczących się ze swą godnością duszpasterską, stawiając ją w służbie wybujałemu egoizmowi nacjonalistycznemu, przez który przelano tyle niewinnej krwi w ostatniej wojnie. Duchowni ci nie baczą na straszliwe skutki, jakie postępowanie ich przynieść może całemu katolickiemu światu, Europie oraz narodowi niemieckiemu.

WIELKIM żalem i wstydem przejmujemy nas fakt, że nigdy w Zachodnich Niemczech przez katolików, ani świeckich, ani duchownych (poza indywidualnymi wypadkami, jak np. wypowiedzi ks. biskupa J. B. Sprolla, czy ks. biskupa J. J. Van der Velden) nie została jasno uznana wina narodu niemieckiego za zbrodnie, dokonane w czasie wojny przez hitlerowców. Nigdy nie wyrazili

oni publicznie żalu za te straszne zbrodnie, ani nie okazali chęci zażegnania im. Tym samym okazało się jasne, że obca jest katolikom w Niemczech zachodnich świadomość moralnej postawy katolika.

ZMARNOWANA została przez nich wielka szansa, jaką było zaufanie społeczeństwa niemieckiego. Postępowaniem swoim w zachodnich strefach C. D. U. sprawiła nam, katolikom polskim, wielki, bolesny zawód. Niestety, nie możemy uważać jej za partię katolicką i odnosić się do niej jako do reprezentacji politycznej naszych współwyznawców. Z C. D. U. taką, jaką jest w tej chwili w Bonn, żaden uczciwy człowiek w Polsce rozmawiać nie może.

DLATEGO nie zwracamy się do C.D.U., ale do wszystkich uczciwych Niemców-katolików w Niemczech zachodnich.

CAŁY świat przeżywa wielkie, niesłychanie doniosłe zmiany i reformy społeczne, gospodarcze i ustrojowe. Dokonanie tych zmian, ich wynik korzystny, nie zaś ujemny, wymaga spokoju i miłości bliźniego.

WNIEMCZECH wschodnich znaleźli się Niemcy, którzy mówią nowym językiem, językiem, wzbudzającym uznanie i będącym próbą odbudowania zaufania między narodem niemieckim a innymi narodami. Językiem tym, jak dotychczas, mówią przywódcy marksistów niemieckich, a niestety — nie katolicy niemieccy.

JAKO katolicy i Polacy wyrażamy ufność, że znajdują się w Niemczech siły naprawdę katolickie, reprezentujące instynkt moralny narodu, które rozumiejąc wielkość zbrodni wojennych, jak i niemoralność postępowania katolików z zachodniego C.D.U. śmiało wstąpią na drogę, wskazaną przez etykę katolicką.

KATOLICY niemieccy! Nie nawracajcie do pruskiego ducha przemocy i agresji, nie wiążcie się z obozem imperializmu, tak wrogim duchowi Ewangelii! Jest dla was miejsce wśród tych katolików na świecie, którzy walczą o pokój między narodami.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY „DZIS I JUTRO”
I „SŁOWA POWSZECHNEGO”

Dzień Zaduszny

Dni 1 i 2 listopada, dni „zaduszne“ skłaniają nas do refleksji. Refleksje te dotyczą wielu zagadnień. Można by ogólnie powiedzieć, że Święto Umarłych ma dla nas dwa aspekty: pozadoczesny i ziemski.

Bo święto umarłych jest jednocześnie przypomnieniem o życiu wiecznym. Wszystkie zwyczaje chrześcijańskie związane z tymi dwoma dniami listopadowymi przypominają nam nuakę Kościoła o nieśmiertelności duszy. Życie jest silniejsze niż śmierć. Zmarli nie tylko żyją w wieczności, ale są z nami połączeni węzłami przynależności do tego samego Kościoła. Mogą doznawać od nas pomocy duchowej i wzajemnie nam pomocy udzielać. Dlatego świeczki palące się na grobach w Dni Zaduszne nie są tylko sentymentalnym ornamentem. Są dla nas symbolem prawdziwej łączności z duszami naszych bliskich.

Te dni poświęcone rozmyślaniu o śmierci i życiu wiecznym, są równie silnie związane z życiem doczesnym. B. nie tylko dusze zmarłych żyją realnie w wieczności, ale również w świecie doczesnym pozostały po nich dzieła. To wszystko, czym my żyjemy, zostało zbudowane pracą tych, którzy żyli przed nami i zostawili nam owoce swojego serdecznego i skupionego trudu, — dlatego, że nas kochali

Tak jest w życiu każdego społeczeństwa.

Wśród zmarłych, których my wspominamy większość to najbliżsi nam ludzie polegli w czasie ostatniej wojny. Ludzie którym zawdzięczamy niezmiernie dużo.

W Warszawie zanikają już coraz bardziej gruzy. Ale o naszych bliskich zamordowanych przez hitlerowców, poległych w obozach i na polach bitew nie możemy zapomnieć. Wspomnienie o śmierci ciąży na nas kategorycznym obowiązkiem pracy dla Polski.

Marek Antoni Wasilewski

Pora umarłych

Dziś, jakby dłonie zmierzchu
Rozwarły się nad ziemią...
Żółte czapeczki ogni
Kasają mrok cmentarza.

Szmer szeptów; głosy pierzchną
I drżą już tylko cienie
Jak ręce rzymskich bogiń
Wzniesione nad ołtarzem.

Dłużą się pasma cieni
Jak twarze na portretach,
Które utrwalił pedzel
Madryckich dzieł El Greca.

W alejach drzew zgubieni,
U progu ziemskiej mety,
Widzimy jedno wszędzie:
Pozorny kres człowieka.

Dla tego tak litośnie
Schylają się kasztany
I wiatr się modli w krzewach,
Które straciły liście.

A w nas nadzieja rośnie,
Że wszyscy zmartwychwstaną
Pod głosu trąb ulewą
Na Chrystusowe przyjście.

W płomieniach lśniących zniczy
Stapiają się dwa światy,
Umarłych i żyjących,
Złączonych dzisiaj w jedno.

To nic, że wargi milczą,
I myśli ku Nim biegną.
Gdy serca są gorące
Jak nieme usta matek,

Wśród krzyży znów listopad...
Ale nadejdzie chwila,
Gdy stuli nam powieki
Mgła biała i niebieska.

Po ścieżkach suną stopy,
A poza nami w tyle
Cmentarze śpią dalekie.
Pomyślmy: requiescant...

Dm 19/05

KOŚCIÓŁ NARODOWY

Ta sprawa narasta okresami. Są lata, nawet lat dziesiątki, kiedy problem zdaje się w ogóle nie istnieć. Kiedy rozwój wypadków historycznych i tendencji społecznych przechodzi obok kapitalnego zagadnienia. Są inne okresy, gdy przeciwnie rzecz wymaga wyjaśnienia.

ISTOTA NASZEJ RELIGII

Niedawno zmarły wielki myśliciel i uczony katolicki O. Jacek Weronicki, zastanawiając się nad katolicyzmem tomizmu, stawiał między tomizmem a katolicyzmem znak równości. Jako walny argument swojej tezy wysuwał przy tym uniwersalizm tomizmu i tym tłumaczył powód, dla którego ta właśnie filozofia uznana została od czasów Leona XIII za naczelną doktrynę Kościoła. To kapitalne stwierdzenie było w gruncie rzeczy niczym innym, jak przypomnieniem, że uniwersalizm, powszechność, stanowi od najdawniejszych czasów zasadniczy punkt naszej wiary i zasadniczą cechę działalności i istoty Kościoła Katolickiego. Proste katechizmowe stwierdzenie, że Kościół Katolicki jest Święty, Apostolski, Rzymski i Powszechny, wyraża tę prawdę, niepozostawiając miejsca na jakiegokolwiek nieporozumienia. W składzie apostolskim modlimy się codziennie „Wierzę w święty Kościół Powszechny”...

Trudno więc wyobrazić sobie, by przy tak wyraźnym i autorytatywnym określeniu zasad katolickich mogły powstać myśli, że można pozostać katolikiem poza społecznością jedności Kościoła. Od zarania chrześcijaństwa walka z partykularnym pojmowaniem wiary stanowiła przedmiot pracy nauczycielskiej papieży i synodów. Chrystus wysyłając apostołów po wszystkich krańcach ziemi i ustanawiając zarazem władzę Klucznika Niebieskiego jako zwierzchnika wszystkich apostołów i zgromadzonych przezeń wiernych zostawił nam wzór jedyny, jak można pojmować katolicyzm. Wszelkie próby tworzenia z religii monopolu jednego narodu kończyły się zawsze jej wynaturzeniem, a w każdym razie dawały w wyniku konieczności zmiany dogmatów, czyli mówiąc inaczej, doprowadzały do powstania nowych religii — niekatolickich.

I o tym wie każdy.

Powiedzieliśmy przed chwilą, że nawet ludzie nie wierzący zdają sobie sprawę, że taka jest właśnie natura naszej religii.

ŹRÓDŁA NIEPOKOJU.

Na przestrzeni ostatnich kilku lat, a zwłaszcza na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy w wielu krajach, a między innymi w Polsce narósł konflikt między postulatami racji stanu państwa i narodu polskiego a skutkami politycznymi niektórych posunięć Watykanu i niektórych przedstawicieli Hierarchii Kościoła, w różnych państwach europejskich, w szczególności w Niemczech zachodnich. Ten konflikt obraca się nie w sferze prawd dogmatycznych, ale w zakresie derażnych posunięć polityki, i o tym zawsze analizując te czy inne wypadki, należy pamiętać. Doczesna działalność katolików, nawet jeśli są przedstawicielami Hierarchii Kościoła może być i bywa błędna, co przecież nie podważa i podważać nie może zasadniczych poglądów religijnych i katolickich dogmatów. Dlatego, komentując, na przykład antypolskie wystąpienia Adenauera, lidera partii politycznej, która nazwała się katolicka, możemy mówić, że popełnia on jako katolik błąd, że nawet często kompromituje religię, którą wyznaje, nie wolno natomiast powiedzieć, że z tego powodu należy zreformować religię, lub że należy porzucić katolicyzm. I określając nasz stosunek do tej właśnie sprawy możemy powiedzieć, że politykę Adenauera zwalczać będziemy wszelkimi dostępnymi środkami politycznymi, jakich wolno katolikowi używać.

STARE DZIEJE

Tysiącletnie prawie dzieje Państwa Polskiego znają pewien okres, w którym istniały próby tworzenia Kościoła niezależnego od zwierzchności Stolicy Apostolskiej. Za panowania mianowicie Zygmunta Augusta w okresie reformacji budziły się myśli uczynienia króla głową Kościoła, tak jak to w tym mniej więcej czasie uczynił Henryk VIII w Anglii. Odradzający się katolicyzm po Soborze Trydenckim, działalność Legata Papieskiego, Jana Commendoniego, który hamował skłaniającego się do reformacji Prymasa Uchańskiego, usunęły to niebezpieczeństwo. Kościół w Polsce pozostał w łączności ze Stolicą Apostolską.

Dzieje angielskie potoczyły się inaczej i od tego czasu Kościół anglikański stał się bezpośrednim narzędziem imperializmu kolonialnego Wielkiej Brytanii, doprowadzając do zupełnego pomieszenia prawd wiary i interesów politycznych.

Jak szkodliwym jest wyzbycie się łączności z jednym naczelnym autorytetem moralnym, świadczyć może coraz bardziej postępujące rozdrobnienie Kościołów protestanckich. W gruncie rzeczy próby tworzenia Kościoła ekumenicznego znalezienia łączności między wszystkimi wyznaniem chrześcijańskimi niekatolickimi są tęsknotą za znalezieniem autorytetu moralnego. Próby te zresztą niewielkie dają rezultaty i na przykład komentarze organu Rady Ekumenicznej w Polsce „Kościół Powszechny” do odbywającego się przed półtora mniej więcej rokiem Zjazdu Ruchu Ekumenicznego w Holandii są nader sceptyczne. Kościół natomiast katolicki, przeszedłszy przez okres trudności w ustalaniu prymatu Papieża nad soborami przyjął dogmat o niemyślności Ojca Świętego i wolny jest od słabości innych,

Co piszą inni

OSTATNIE wydarzenia polityczne, skoncentrowane wokół zagadnienia Niemiec, budzą w społeczeństwie polskim niewątpliwie najżywsze zainteresowania. Znaczenie tych wypadków nie uymyka uwadze narodu najbardziej bezpośrednio i blisko zainteresowanego w sprawiedliwym i trwałym rozwiązaniu problemów niemieckich.

Opinia polska odcinając się zdecydowanie od militarystycznych i rewizjonistycznych tendencji Niemiec zachodnich, śledzi z uwagą wszelkie przejawy odradzających się myśli i postawy pokojowej.

Społeczeństwo polskie nie odgradza się chińskim murem przed Niemcami. Ale tym więcej chce widzieć w Niemczech naród i kraj pokoju nastawiony na zgodne współzycie i nie będący zarzewiem wojen i podbojów.

Zagadnienie niemieckie nie jest proste, i nie jest łatwe.

Jego rozwiązanie zależy w pierwszym rzędzie od postawy narodu niemieckiego. Od jego wyboru: odrodzenie moralnej treści społecznej czy kontynuacja światowładczych nacjonalistycznych tradycji.

Jest rzeczą ważną, żeby społeczeństwo niemieckie zdawało sobie dobrze sprawę z naszej postawy. Jest rzeczą ważną, aby w tym dokonywaniu wyboru przez naród niemiecki precyzja naszego stosunku do spraw niemieckich była jasna i szczerą, głęboką i prostą.

Opublikowany ostatnio w „Kuryerze” (nr 42/214) „List do Pani Hildegardy Peine” Jerzego Andrzejewskiego świadczy o takiej właśnie postawie.

Prosto i bezkompromisowo oddziela Andrzejewski nasz stosunek do narodu niemieckiego od stosunku do faszyzmu niemieckiego i jakiegokolwiek jego kontynuacji i pokrewieństw. Prosto i bezkompromisowo stwierdza, że nie naród niemiecki ale faszyzm niemiecki, jego

prawzory i kontynuacje są przedmiotem naszej wrogości i potępienia.

List Andrzejewskiego wyjaśnia głębiej pojmowanie patriotyzmu. Wyjaśnia głębiej pojęcie, które naród niemiecki musi dokładnie przewartościować. Wy daje się, że właśnie od przewartościowania tego pojęcia należy w dużej mierze wybór słusznej, nowej drogi. Bo jak pisze „pojęcie to doznało w naszym stuleciu wielu szczególnie dotkliwych poniżeń i gdy w istotnej swej treści przeznaczona jest do skupiania najpiękniejszych wartości ludzkiego ducha, wrogowie ludzkości uczynili zeń narzędzie zbrodni i bezprawia”.

Patriotyzm, ukochanie własnej ojczyzny, to ukochanie dobra i piękna, to ukochanie wartości, którym służąc służy się ludzkości. „Patriotyzm”, słowo, pod które podkłada się treść szowinistycznego nacjonalizmu, pod które podkłada się służbę złu i deptanie praw człowieka, jest nie tylko pseudopatriotyzmem, ale wręcz antypatriotyzmem.

I słusznie, że właśnie to zagadnienie jest w „Liście do Pani Hildegardy Peine” pierwszoplanowe. Bo naród niemiecki musi zrozumieć, że służyć własnemu narodowi można tylko wówczas jeśli się służy ludzkości.

Musi zrozumieć, że patriotyzm i szowinizm nacjonalistyczny, wbrew pozorom, wbrew uproszczeniom i niechlubnym tradycjom to pojęcia, które nie dadzą się z sobą pogodzić.

Musi zrozumieć, że patriotyzmem jest tylko to, co służy dobru. A służby „najcenniejszym wartościom ludzkiego ducha” nie można realizować drogą podziału na wyższe i niższe rasy, drogą gwałcenia innych narodów w imię rzekomo narodowych własnych celów.

Musi drogą głębokiego przewartościowania wydobyć z siebie prawdziwą treść pojęcia patriotyzmu. Bezkompromisowo odrzucić szowinistyczny nacjonalizm, a zrozumieć, że droga

patriotyzmu to służba dobru i w tej właśnie służbie droga międzynarodowej solidarności.

Szowinizm nacjonalistyczny, którego ukoronowaniem jest faszyzm, dzieli narody.

Dzieli je w imię „patriotyzmu”, które jest „patriotyzmem” zła i nienawiści. Patriotyzm bez cudzošlowu, patriotyzm „skupiający najcenniejsze wartości ludzkiego ducha” łączy narody. Łączy, bo jest służbą dobru, jest służeniem dobru przez własny naród, przez własną ojczyznę, dobru każdego człowieka, dobru ludzkości. Łączy, bo realizowanie dobra w Meksyku, Tokio czy Berlinie jest realizowaniem dobra także dla Warszawy, Sztokholmu, czy Kalkuty.

Poezja Goethego służyła własnej ojczyźnie, służyła ludzkości. Schiller nie stał się nic mniej niemieckim przez to, że tworzył dzieła, których wartość wyliczyła poza ramy własnego narodu. A cóż dał Bismarck kulturze niemieckiej przez swój pseudopatriotyczny, szowinistyczny „Kulturkampf”? Czym zbagacilo kulturę niemiecką palenie przez Hitlera polskich bibliotek i muzeów?

Przewartościowanie przez naród niemiecki pojęcia patriotyzm, to wielkie i trudne zadanie. Ale zadanie, które stanowi o przyszłości Niemiec, o nowym stosunku narodu niemieckiego do wszystkich narodów świata. Przewartościować to pojęcie odnaleźć jego właściwą treść we współczesności i przeszłości, to znaczy odgrzebać dobre i piękne tradycje, a bezkompromisowo odrzucić i potępić tradycje zła i nienawiści. Potępić to znaczy nie zapominać o ciężkiej krwi i cierpieniu, który te „tradycje” obciąża. „Niech ci wszyscy — pisze Andrzejewski — zmarli i umęczeni wśród tych krajów, w których walczono o wolność, świadczą swoimi cierpieniami o poniesionych ofiarach, a także niech trwają jako wymowne ostrzeżenie, czym stałoby się życie ludzkie i jakim by się stał świat, gdyby faszyzm zwycięsko zatriumfował.

„Naród niemiecki — pisze Andrzejewski — jak każdy inny naród nie jest przeciw wartościom niemieckim. Hitleryzm wyrósł wprawdzie w Niemczech, ale czyż hitleryzm ma znaczyć to samo co naród niemiecki. Nie, na pewno nie!”

Goebels i Hitler montując podobój świata wlatczali w umysł Niemców przekonanie o wielkiej historycznej szansie. Była to szansa nienawiści i zła. Dziś istnieje szansa historycznego odrodzenia. Szansa dobra i pokoju. Szansa historycznego wyboru.

Każdy przejaw słusznego wyboru musi być z naszej strony podparty i wzmocniony tak, jak każdy przejaw pozostawania na obłądnej drodze szowinizmu czy powrotu do niej musi być przez nas zwalczany.

I tak jako słuszny wybór oceniamy w Niemczech te tendencje, których wyrazem jest utworzenie w Berlinie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Oświadczenia przywódców nowego państwa niemieckiego Prez. Piecka i Premiera Grotewolla są tego oczywistym dowodem.

Cieszy nas fakt, że znaleźli się Niemcy umiejący wskazać narodowi drogę słusznego wyboru.

Omega.

niekatolickich wyznań. Dogmat niemyślności Stolicy Piotrowej w sprawach wiary i moralności stanowi zasadniczą zapórę przeciwko możliwości dowolnych interpretacji prawd wiary, a tym samym determinuje katolika w jedności z Ojcem Świętym. Poza Kościołem nie ma i nie może być katolicyzmu.

Stawiamy ten problem w naszym piśmie by raz na zawsze odebrać okazję ludziom złej woli do siania niepokoju, że w obozie katolickim mogą się znaleźć ludzie myślicy na serio, o pozał się Boże, — stwarzaniem Kościoła Narodowego. Żaden katolik z prawdziwego zdarzenia takiej koncepcji mieć nie może. Tyle mówią nasze niezmiennie katolickie zasady.

Niezależnie od tego w imię prawdy, należy zanotować fakt, że Kościół Narodowy nikomu dziś w Polsce dla celów politycznych nie jest potrzebny i nikt go dla tych celów tworzyć nie zamierza.

NOWOŚCI

NOWOŚCI

JANA DOBRACZYŃSKIEGO

ŚWIĘTY MIECZ

Powieść o świętym Pawle

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Cena 1200 zł.

Popierajcie

**Katolicki Uniwersytet
Lubelski**

Tadeusz Chrzanowski

NIEPOTRZEBNIE

Zeglarska placówka w Giżycy powstała jeszcze w lecie 1945 roku. Zjechali wówczas do spalonego miasta entuzjaści i narwańcy w malowniczych strojach marynarskich, zajęli dom, przed którym wznosił się autentyczny maszt z linami i trapezami, noszącymi trudne, fachowe nazwy, w końcu zaś zaczęli tworzyć flotyllę na okolicznych jeziorach. Mazury, choć fronty wygasły przed miesiącami, nie były jeszcze terenem tzw. codziennych zdarzeń, a giżycy zeglarsze nie stanowili bynajmniej elementu łagodzącego stosunki wewnętrzne tego pięknego kraju. Tworzenie floty miało dwa aspekty — pokojowy: a więc wyławianie zatopionych żaglówek — i piracki: to znaczy zdobywanie rozszabrowanego sprzętu. Niejednokrotnie woda i las nosiły po okolicach echa kanonad, w których udział brały wszelkie bronie od pepesz poczynając — na dwururkach kończąc, a czasem dochodziło nawet do zacieklejch abordażów w najszystszy korszarskim stylu. Ale nadszedł czas deszczów — przy wlokła się dokuczliwa i długa jesień. Wieczory schodziły na pogwarkach i żartach. Chłopa, w których siedział duch Conrada — włóczęgi, zaczęli się wzajemnie sobie przyglądać. Zaczęło się poznawać, charakteryzować, przeżywać. A wówczas Olek i Rysiek sprawili tej gromadzie indywidualistów nie mały kłopot. Poprostu — nie wyróżniali się niczym. By ich rozróżnić musiano wpiernić się na do szczegółu, że trzymają się zawsze razem — i dopiero wtedy określono ich. Mówiono: „Olek każdą sprawę bierze serio, a Rysiek to ze wszystkiego robi śmichy”!

Tak było naprawdę. Fizycznie różnili się nieco wzrostem, ponieważ ciemny blondyn Olek był nieco niższy i słabszy od jasnowłosego Ryska. Poza tym chodzili w takich samych granatowych strojach z wykładanymi kołnierzami i w szerokich, miękkich spodniach. Tyle, że Olek nosił ukryte w tych spodniach buty z cholewami, a Rysiek przepasywał się pięknym oficerskim pasem z koalicijką. Pierwszy robił to ze względu na możliwość złapania zapalenia płuc, a drugi ponieważ należał do niebezpiecznej kategorii ludzi, którzy jeszcze nie mieli dość wojny, a możeby nawet po wstaniu przeżyli na repete.

To o czym chcę opowiedzieć zdarzyło się w drugiej połowie listopada, prawie pod koniec miesiąca. Ponieważ komunikacja ząbkowała dopiero, a mosty były przeważnie w proszku — Olek i Rysiek wybrali się do Mikołajek, by przywieźć stamtąd do giżycy placówki prowiant. Załadowawszy konserwy i worek cukru na łódź — ruszyli w powrotną drogę. Łódź była metalowa, wojskowa — alianci używali takich łodzi do przepraw przez rzeki. Napozór ciężka i niezgrabna — była w rzeczywistości szybka i wygodna. Siedzieli w niej po dwóch przeciwnych końcach, wiosłując z boku pojedynczym wiosłem.

Z Mikołajek wyruszyli co prawda nieco zbyt późno, ale słońce przygrzewało, humory

były dobre i przy pewnym wysiłku można było dopłynąć do celu jeszcze przed zachodem słońca. A jednak szło im nie- sporo, tak, że dobrnąwszy do Rydzewa, mieli przed sobą najwyższe dwie i pół godziny dnia. A tymczasem na niebie pojawiły się niepokojące chmury. Ocieżała — niosły na pewno deszcz i groziły skróceniem czasu dzielącego ich od zmroku. Rysiek spoglądając na nie wyobraził sobie taką piękną metaforę — oto na horyzoncie opuszczony wiatrak wymachiwał niełatyanymi od dawna skrzydłami, a chmury podnosiły się za nim jak tumany szarej, trującej mąki. Olek natomiast nie był skłonny do poetyzowania — przypomniał sobie, że „zmiana” suszy się od wczorajszej ulewy i napewno wciąż jeszcze jest ocieżała i nie przytulna. Miał wstręt do mokrych ubrań, a ponadto obawiał się zapalenia płuc, toteż nie stworzył metafory, tylko mruknął: „Warto by zostać w Rydzewie, bo zmokniemy do nitki”!

Rysiek jednak był w nastroju bohaterskim. Wprawdzie jego „zmiana”, była równie mokra, jak „zmiana” Olka, ale wieczór, zawierucha, gniewny żywioł, walka... Wytoczył swoje argumenty, które miały zresztą widoczną przewagę nad argumentami kolegi: wyszabrowana, pusta wieś, koledzy czekający na prowiant, a wreszcie próba sił...

Olek mógłby wprawdzie powiedzieć coś o niebezpieczeństwie, ale ponieważ rozsądnie oceniał sytuację, rozumiał, że mogłoby to co najwyżej sprowokować przyjaciela do tym górszego obstawania przy swoim. A przecież Rysiek miał zawsze w odwodzie: „poczucie obowiązku”, a co gorsze „tchórzliwe cofanie się przed drobnymi przeszkodami...”

Dyskusja nie miała już racji bytu. Spomiędzy obskubanych, trzęsących się na wietrze drzew przyglądał im się kościółek. Olek przeżegnał się pokryjono. Zrobił to małym gestem, jakgdyby szukał czegoś w górnych kieszeniach nieprzemakalnego płaszcza. Uczynił to chyłkiem tylko ze względu na możliwą uwagę Ryska, na przykład: „jak trwoża to do Boga!”

Wyplynie na jezioro Niegościńskie. Chmury narosły i niepostrzeżenie podniosła się fala. Opadły ich małe, złośliwe piany, które z sykiem rozwijały się na grzbietach fal, a potem spadały wraz z nimi. Olek zauważył jak gdyby od niechcenia, że na pełnym jeziorze musi być cholerna fala, ale mentalności Ryska nie dało się zmylić. Stuknął palcem w manierkę — „Olcu, tyknijno sobie, a zaraz zrobi ci się cieplej na duszy i ciele.”

Choć zabolęła go uwaga kolegi, zdobył się na obojętne wypicie kilku łyków wódki. Była napozór gorzka i obrzydliwa, lecz natychmiast poczuł ślup ciepła, przenikający ciało. W samą porę, bo chłód i wiatr zaczęły się wkradać za rękawy i kołnierz. Rysiek z miną wytrawnego „wilka morskiego” długo poruszał grdyką pod wysoko zadartą manierką, potem otrząsnął się prawidłowo. Za-

kołysali się mocniej i opadły ich małe, kaśliwe szkwały.

Góra oderwał się od czola chmury oblok i przeleciał nad nimi koszącym lotem. Otoczyli ich małe kółka na wodzie, niby ostrzegawcza salwa niedostępnego ckm-u. Zaraz potem znikły.

Wzięli kurs wzdłuż zachodniego brzegu jeziora. Pracowali równo. Rysiek pogadywał czasem wesoło. Mniej więcej półtora kilometra za Rydzewem kółka otoczyły ich znowu i tym razem już nie opuściły. Olek poprawił brezent na dnie łodzi, a Rysiek zdjął okrągłą czapkę i szczerbatym grzebykiem przeczesał jasne włosy, które pod wpływem deszczu utraciły nieco ze swej samodzielności. Milczeli teraz długo. Czas upływał wolno, natomiast zmierzch dogonił ich wkrótce. Rysiek spoglądał od czasu do czasu na zamazujący się w deszczu i mroku las. Zdawał się być jakimś tajemniczym pochodem. Olek zerkał również, lecz po to, by ocenić odległość dzielącą ich od brzegu. Mimo braku zainteresowania malarskich umiał jednak od dać sprawiedliwość piękna kilku tonów szarości, z których zbudowany był widok. A odległość ocenił na około 150 metrów. Bliżej mogły być mielizny.

Pracowali możliwie najwydatniej, nie zużywając przy tym zbyt wielu sił, które obecnie były zbyt cenne by móc je roztrwonić. Przepuszczalnie przebyli pół, a może i więcej drogi, gdy ostatnie zarysy drzew zgubiły się w ciemności. Wichura zgęstniała i zmieniwszy nagle kierunek, zaczęła ich chłostać z półeczki. Ulewa straciła charakter poszczególnych uderzeń kropki, smagały ich zbite strumienie. Na dnie łodzi zebrało się sporo wody i zachodziła obawa, że cukier zawinięty w brezent przemoknie. Kołysanie stało się nieznośne. Wiatr spychał ich na jezioro. „Rysiek — zawołał Olek — nie ma sensu pchać się dalej. Wiosłujemy do brzegu!”

Nie był jeszcze pewien reakcji kolegi, więc cofnął się poza krąg widzenia i mocnymi, krótkimi uderzeniami skierował dziób łodzi pod wiatr. Poczuł na stępujące po sobie uderzenia fal. Wspiwały się powyżej dziobu i rozpryskiwały o jego plecy. Rysiek tymczasem pochylił się i zaczął wyczerpywać wodę z dna łodzi. Siegała ona już po kostki i o ile cholewy Olka brońiły się przed nią, o tyle nogi Ryska były w jej niepodzielnym władaniu. Po bolesnym chłodzi zaczął w nie wpełzać bezwład, toteż chłopak czekał już tylko na propozycję wylądowania. Wrodzona buńczuczność nie pozwoliła mu jednak na natychmiastową kapitulację, więc zamiał wiosłować, wziął się do czerpaka. Zgrabiła ręce dokuczyły mu jednak wkrótce, toteż powrócił do wiosła. Wówczas wielka fala wskoczyła do łodzi i przewaliła się Ryskowi po kolanach. Dotarła aż do brzucha — natarczywa i bezlitosna. Bolesnie wpełzała aż tam, gdzie przechowywał ostatnie szczątki ciepła. Skurczył się, jak od kopniaka. Z pasją uderzył wiosłem, lecz następna fala szarpnęła łodzią, że musiał się jedną ręką

uchwycić burty. Wówczas woda, jak pies kłusujący kij, którym się opędzamy przed nim — chwyciła wiosło. Zgrabiła palce nie utrzymała go. Natychmiast krzyknął do Olka, ale ten go nie zrozumiał. Musiał więc powtórzyć i wówczas dopiero łódź cofnęła się nieco. Wychylił się niecierpliwie i rękoma zaczął wodzić po fali. Nie zdało się to na nic, a tylko rękawice przemokły ostatecznie. Opanował go głuchy gniew. Olek trącił go czymś w ramię — latarka.

Zaświecił. Rozmazana plama jasności zakolysała się i przywróciła nieco opanowania. Niemniej, skoro tylko ujrzał wynurzające się z wody pióro wiosła, wychylił się tak gwałtownie, że czółno tyknęło z chłopotem falę. Wyprostował się z gniewem — zachował się przecie jak dzieciuch. Z tym większą pasją zaczął robić wiosłem. Pracowali dłuższą chwilę. Brzegu wciąż jeszcze nie było. Milczeli. Ręce drewniały. Rysiek odpiął manierkę i pił długo. Do końca. Odrzucił pustą na dno. Kłamliwe ciepło nie umiało się już jednak wy dostać poza tułów, poza sam środek, samo wnętrze ciała. Wydobyl z wody skostniałe nogi i oparł na burcie. Ciemność zgęstniała do tego stopnia, że nie mógł już dostrzec sylwetki Olka.

Poczuł jakiś niepokój, samotność, lichy wie co — musiał zapalić latarkę. Wydobyl to na chwilę koleję z głębi szumu. Pił on drobnymi łyżkami z manierki. Rysiek był pewien, że przyjaciela zostawi jeszcze sporo na potem. Błysk zaślignął się w dół. Wody było bardzo dużo i pływały po niej szorstkie bąble brezentu. Nie miało najmniejszego sensu bawić się czerpakiem. Z ostrym bólem zanurzył rękę w wodzie i wydobyl sporą puszkę. Rozpruł kordelasem. Było to mleko w proszku. Białe pył syknął za burty — w noc. Zaczął wylewać wodę. Ręce piekły, jakby oparzone. Natomiast gwałtowne ruchy rozgrzały go nieco. Tymczasem nowe fale wlewały się co chwila z radosnym bulgotem. Z góry spadały płachty ulewy.

Olek poczuł, że naoslep wygarniane porcje wody lądują często na jego płaszczu. Zdobył się na możliwie beztrudny ton: „Rysiek — daj spokój, wiosłuj lepiej, to przedzi dopłyniemy!” „Ale gdzie do cholery ten zasrany brzeg?” — odkrzyknął tamten. Olek odczuł ten okrzyk nieomal z bólem. To było załamywanie się kolegi... Sam zresztą trzymał się ostatkami. Przecież płynęli poprawnie, orientował się po kierunku wiatru — chyba... że wiatr zmienił znów kierunek... Wzdrygnął się. Odłożył wiosło i zabił rękoma.

Znów w milczeniu przedzielali się przez ciemność. Łódź pełna wody, nieelastycznie odbierała nowe uderzenia. Co chwila woda przeskakiwała burty. Słyszeli ją obaj — cichszą od szumu fal — ale wyraźnie, złośliwie bulgocącą tuż koło nich. Olek czuł, jak ból, który objął mu stopy, mimo że woda nie dostała się do butów, podnosił się coraz wyżej i sięgał już kolan. Próbował przestępować z nogi na nogę. Nie na wie-

le to się zdało. Rysiek zaświecił znowu. Tylko taki krótki błysk. Wody było przerażająco wiele. Kontrastując z szalejącymi falami, chłupotała spokojnie od burty do burty. Zgąsto. Szum.

Trwało to nieskończenie. Ciężko przeżykali powietrze napierając na wiosła. Ich ciała spoczone i gorące w jednych miejscach — w innych drewniały i piekły od zimna. Nagle Olek poruszył się. Szamotanie trwało krótko i uwolnione od brezentu puszki zaczęły wylatywać za burty. W wichurze zacięły się pluśnięcia. Wreszcie zawołał do Ryska — „Pomóż mi z tym workiem — i tak nic z niego!” Naparli się ślizgając i chłupocząc po ciemku. Podwójnie teraz ciężki i lepki worek cukru uderzył głucho w ciemność. Lecz równocześnie do przechylonej łodzi wdarła się fala. Powrócili na swoje, wzajemnie niewidoczne miejsca. Olek poczuł ogromne znużenie. Budził go jedynie ból, który z nóg przeniósł się obecnie na ramiona. Po chwili jednak ból rozplynął się całkowicie i Olek przestał w ogóle odczuwać. Wiosłowanie następowowało według jakichś mechanicznych odruchów. Przed nim, gdzieś w niewidzialnym znowu zaczęła pobrzękiwać puszka, Rysiek walczył...

Trwało to chyba bardzo długo. Olek chciał spojrzeć na zegarek. Nie fosforyzował. Zawołał więc — „Rysiek — latarkę!”

Odbierać ją musiał ostrożnie, gdyż palcami z trudem wyczuwał kształt przedmiotu. Zaświecił. Była ósma, dwadzieścia minut. Płynęli więc w ciemności przeszło trzy godziny. Spojrzał na łódź. Wody było zbyt wiele, by dało się jeszcze długo płynąć. Delikatnie i krótko błysnął powyżej. Twarzy Ryska nie dojrzał, głowę miał on bowiem pochyloną i spadały z niej szmaty mokrych włosów. Nawet na sekundę nie oderwał się od pracy. Praca ta jednak była już zupełnie zbyteczna. Łódź napelniała się wodą dwakroć szybciej, niż dało się ją opróżnić. Olek nie ludził się już. Wstał i jakimś naiwnym gestem, gestem wrodzonym rozbitkom — zatoczył nad głowę krąg światła. Zgasił latarkę. Wsunął do kieszeni. Stał jednak dalej. Teraz Rysiek szarpnął czymś i nagle przedarły ciemność trzy krótkie serie z pepeszy. Olek dojrzał świetne punkciki, ale oddalały się zaraz i gasły. Potem była jeszcze jedna seria. Długa. Rysiek zawołał coś, ale jego głos był bardzo zmieniony i do Olka dotarły tylko strzępy — „Płynąć razem” i „zaświecić”.

W slabiutkim, zółknącym świetle dostrzegł przyjaciela, jak zrywał ze siebie płaszczy i narzucał na ramię pepeszę. Ten gest był ostatnim echem poprzedniego Ryska... Olek nie zdjął swego płaszcza, a jedynie założył za pas jego poły. Nie starał się myśleć o następnych chwilach. Po wrócili do wiosła, ale ocieżała łódź zdawała się stać w miejscu. Pracowali jednak dalej, bo to bronilo przed czekaniem. Olek w przypływie nadziei spróbował wiosłem dna. Ręka zanurzyła się po łopatkę. Mała fala zlizala mu z głowy czapkę. Nie starał się jej odnaleźć.

(Dokończenie na str. 9)

Montuelard

tłum. Z. Kobyłańska

WIARA I HISTORIA

(Fragment z „Listów do niecierpliwych”)

Autor „Listów do Niecierpliwych”, Dominikanin francuski O. Montuelard jest założycielem i czołowym działaczem katolickiego ośrodka koncepcyjnego „Młodość Kościoła” (Jeunesse de l'Eglise) oraz redaktorem wydawnictwa pod tym tytułem. Działalność tego ośrodka obraca się wokół problemów nowoczesnych metod apostołatu, metod kształcenia kadr świeckich dla walki o odzyskanie właściwego miejsca dla Kościoła we współczesnym świecie.

REDAKCJA

Stanowczo, tylko wiara może was ochronić przed rozlicznymi formami zwichnięcia życia religijnego. Uratować was od konformizmu i zubożenia duchowego, które rodzi się z rozproszenia. Wyrwać was z tego sztucznego wszechświata gdzie narażacie się bezprześcannie na odcięcie od rzeczywistości i Boga.

Czy nie dostrzegacie wszystkiego tego co wam może wiara przynieść? To co mogłoby wam przynieść, to możliwość uczynienia waszego chrześcijaństwa nowym i zarazem bardziej autentycznie „chrześcijańskim”. Dzięki niej będziecie mieli pewność, że chrześcijaństwo jest czymś innym niż zbiorem zasad, zwyczajów, opinii jak się wam to z przyzwyczajenia wydaje. Przez doświadczenie jakie daje wiara, wkroczycie w inny świat bardziej prawdziwy, głębszy, gdzie będziecie mieli możliwość poznać względność tych wszystkich nadziemnych budowli.

„PAN BÓG DAŁ RZECZYWISTOŚCI ŚWIATŁOŚĆ”

Niezastąpiona, wiara jednak nie może sama wystarczyć. Myślę, że jesteście o tym bardziej ode mnie przekonani. Tak dalece nawet, że bywacie skłonni do zapominania o potrzebie szukania w niej natchnienia. Rozumiecie jednak, że jest niemożliwością oczekiwać od samej tylko wiary rozwiązywania problemów praktycznych, które stawia przed wami codzienne życie. I rzeczywistość, coź odpowiedziałaby wam wiara gdybyście ją zagadnęli o najważniejsze formy organizacyjne związków zawodowych, o współzawodnictwo dwu typu szkół, o trudności pojęcia małżeńskiego, o głosowanie, a nawet sposób spowiedzi, modlitwy albo uczestniczenia w ofierze eucharystycznej? Oczekiwania na nie wiem jakie wewnętrzne olśnienie narażiłoby was w rzeczywistości na pomieszanie waszych pragnień osobistych z wolą Ducha Św. Naraziłoby się na oderwanie od rzeczywistości albo na podpadnięcie w herezję.

Jest więc niezbędnym by do wpływu wiary były dorzucone jako uzupełnienie wskazania rzeczywistości. Sam Bóg dał rzeczywistości światłość, którą powinniśmy osiągnąć.

Wielu twierdzi, że znajduje w rzeczywistości tylko niepewność i pomieszanie pojęć — w każdym razie żadnej wskazówki kierunkowej. Dla tych rzeczywistość jest problemem do rozwiązania, ale jeszcze nie rozwiązaniem postawionego problemu.

Ludzie ci poprostu nie umieją patrzeć na rzeczywistość. Rozumieją ją tylko statycznie. Rzeczywistość ukazuje się im jako bez-

władna masa jako nagły fakt, jako ustalony porządek, stan w pewnej mierze ostateczny. Rzeczywistość dla nich jest przedmiotem bez ruchu, bez tendencji, bez woli. Jest ona przeszkodą do przewyżczenia, lecz nigdy sugestią do spełnienia. Jakżeż przy takiej postawie czyn ludzki mógłby z niej czerpać oświecenie. Oddanie się fantazji natchnienia, albo zastosowanie się do teorii i zasad określonych z góry jest w takim razie nieuniknioną koniecznością.

Ale jest to tylko sposób czysto zewnętrzny i powierzchowny patrzenia na rzeczywistość. Rzeczywistość, cała rzeczywistość kryje w swym łonie siłę wskutek czego zawiera w sobie ruch, kierunek i sens. Jest ewolucją. Historią. Rzeczywistość jest pełna pragnień, niezaspokojenia, dążeń: ona „wie dokąd chce iść”. I ten kto widzi jej dynamikę uczy się jak ma się zachowywać, jak odnosić się do niej by się ona w pełni zrealizowała. Wraz z natchnieniem wiary, wierność Historii jest dla chrześcijanina jedynym ze światła jego życia.

Jest praktycznie niemożliwym być wiernym rzeczywistości nie będąc jednocześnie wiernym Historii.

Zbyt często wydaje się nam, że jesteśmy związani z rzeczywistością wtedy, gdy tylko zauważamy ją poprzez nasze idee i nasze schematy. To co zabezpiecza nas najpewniej od mylenia rzeczywistości, z naszym o niej wyobrażeniu, od podstawienia nierozsądne go abstrakcyjnej idei na miejsce konkretnego, to zwrócenie uwagi na tę „nowość” i to „nienasytanie”, czym uzupełnia stale rzeczywistość jej tajemnicza ewolucja, jej celowość, jej miejsce w ogólnym ruchu: to jest znaczenie Historii.

„Bo wierzę, że całe stworzenie wdycha i aż dotychczas rodzi wśród boleści” (Rzym. VIII. 22).

Zastanówcie się chwilę. Zatrzymajcie się na jakimś pytaniu, które re was zajmuje, którego dotąd być może nie umieliście rozwiązać i powiedzcie mi czy przenosząc je do Historii, nie widzicie otwierają cego się przed wami rozwiązania.

Tak długo jak ekonomista zadawała się rozmyślaniami o miłości albo sprawiedliwości, hip notyzowaniem się prawodastwem w przedsiębiorstwie, stanem obecnym stosunków między właścicielami i robotnikami (w świecie kapitalistycznym. Przyp. tłum.), na raża się na długotrwałe zapytywanie się o swe własne obowiązki przed rozpoczęciem dzieła konstrukcyjnego. Ale gdyby on starał się zrozumieć ewolucję stosunku kapitału i pracy, gdyby wziął pod uwagę dążenia mas, współczesne prądy... wtedy cały program zarysowałby się jaśniej przed oczyma. Wówczas jeżeli na wet nie posiada jeszcze znajomości wszystkich środków technicznych, które należy wprowadzić w życie, przynajmniej wie lepiej jak je sobie przypomnieć jak one

Odnosi się to również do wszystkich zagadnień wyłonionych przez wzajemny stosunek ducha i doczesności. W ich obecnym stanie określonym przez pewną liczbę zwyczajów, opinii, odruchów, ustaw nie dostarczają one zapewne wskazówek dokładnych. Ale jeśli sobie przypomnieć jak one

się rozwijały w przeciągu ostatnich wieków; gdy się zaobserwuje ich nowe kierunki, jak np., po nowne odkrycie akcji misyjnej i tyle innych objawów, wtedy otwiera się droga do poszukiwania i do inicjatywy.

Trzeba uczynić duży wysiłek dla zrozumienia jak i w jakim sensie zmieniają się obecnie życie kościelne, duchowość chrześcijańska, a będzie łatwiejszym, dużo łatwiejszym „odnaleźć” to czym być może dziś modlitwa, praktyki religijne, asceza ewangeliczna, organizacja parafii.

Krótko mówiąc, zróbcie sami doświadczenie, a z pewnością ujrzycie, że Historia jest jednym z niezbędnych czynników, dla każdego kto zastanawia się nad swym zachowaniem i swą działalnością. Są to czynniki jeszcze bardziej niezbędne dla tego, kto chce przeżywać osobiście chrześcijaństwo w nowym zbiegu okoliczności dzisiejszych. Tak długo jak pozostajemy wobec rzeczywistości jaśniej wobec abstrakcji, nie znajdziemy żadnego światła, a często napotkamy straszliwą niepewność. Ale gdy spojrzymy na rzeczywistość jako na Historię, wówczas sama kierunek ruchu wypisany w sercu rzeczywistości nas oświeci i wskaże drogę. Byłoby błędem wierzyć, że mamy moc wywracania rzeczywistości dla dopasowania jej do naszych planów. Byłoby również błędem wyobrażać sobie rzeczywistość nieruchomą lub upierać się przy traktowaniu jej w ten sposób. Bóg uczynił z rzeczywistości Historię: nakreślił dla niej cel, do którego nie przestaje jej kierować. Rozpoznać tę wędrówkę, wziąć w niej doświadczenie udział, to jest nasza wspólna praca w Dziele Bożym, to jest wykonywanie miłości Bożej, w której wiara daje nam udział.

TEORIA ZDAJE EGZAMIN PRZED RZECZYWISTOŚCIĄ

Czy jednak nie grozi nam, że pod pozorem uniknięcia tej statyczności, która nas oślepi i pcha ku dyletantyzmowi, poddamy się biernemu ruchowi Dziejów, zobowiązemy się podać tylko za instynktem samozachowawczym, stworzymy sobie ideał „człowieka epoki”? Historia nie należy bowiem ani do dyletantów, ani do doganiających.

W prądach historycznych nie wszystko jest jasne, nie wszystko pomaga do prawdziwego rozwoju ludzkości. Błąd, upadek, zbroczenie odgrywają też poważną rolę. Nadto, jest ciekawe stwierdzić jak dalece Historia jest wynikiem wyrównania: każdy postęp na jednym odcinku zwykle płaci się przez wyrzeczenia na innych. Stąd klasyczne konflikty władzy i wolności, jednostki i społeczeństwa... tyle innych! Daleka od prostej drogi do celu od uzyskania syntezy, Historia idzie naprzód przez oceny przybliżone, przypadkowe i fragmentaryczne, posuwa się po omacku i zdaje się gubić w niekończących się wybiegach.

Sądźmy, że zwycięstwo Chrystusa już zwyciężył od tamtych czasów do obecnych wpływa na rozwój historycznego stawania się. Nie pora jednak upoważniać nas do przyjmowania

naiwnie wszystkiego, co przynosi Historia mamy zalecone być czujnymi i modlić się. Ażeby pozwolić się prowadzić przez Historię należy ją najpierw osądzić i rozróżnić w niej siły walczące.

Ale powiecie, czy nie popadamy w całkowitą sprzeczność? Nie zdobędzie się oświecenia z Historii jeśli nie zaczyna się od oświecenia Historii! Przedstawiliśmy jedynie i rozwinęliśmy nasze niepewności. W imię czego więc osądzić Historię, jeżeli nie według zasad, reguł, teorii? Jak więc nie popaść w napospolitszy zwyczaj moralizatorstwa i konformizmu? Jeśli trzeba osądzać Historię to jaką pomoc ona nam daje: jakich może dostarczyć nam wskazówek zdolnych rozjaśnić nasze poszukiwania myśli i życia chrześcijańskiego?

Pozornie znaleźliśmy się w ślepej uliczce.

Czy osądzać Historię według abstrakcyjnych norm „naszych doktryn”? Nie zaprzeczam możliwości teoretycznej i znajduję nadto, że Nauka Kościoła wspomaganą przez pracę teologiczną nigdy nie zaprzestała korzystać z tej pomocy. Ale jedna uwaga: nie mówię tu o teologii ani o zagwarantowanej dogmatem nieomyślności, mówimy tu o tym co nazywamy, my „nasze doktryny”. Nie jesteśmy wcale uzdolnieni, do odróżnienia nieomyślnie prawdziwej Doktryny, od precedensów, zastrzeżeń, zwyczajów, przestarzałych wniosków, które kultura i cywilizacja dawniejsza tak ściśle połączyły z chrześcijaństwem. Tak przez kracząc nasze kompetencje ryzykowalibyśmy sądzenie Historii, nie w imię Prawdy wiecznej, ale zupełnie zwyczajnie w imię przeszłości, w imię przyzwyczajenia, ze strony nabytej nauki i naszego środowiska! Ryzykowalibyśmy wówczas rozminięcie się z Historią i wyparcie się tego, co przynosi ona w każdej epoce prawdziwego i nowego ludzkiemu sumieniu! Nie zapomnijmy o tak upartym nierozumieniu przez katolików francuskich „zagadnienia sącjalnego”. Usiłowaliśmy przesiać Historię (w chwili gdy rytym jej ewolucji staje się tak raptowny) przez naszą postawę myślową, nasze zachowanie się zwyczajowe, czyż nie jest to narażaniem się na podobne postawienie rzeczy? Opóźnienie chrześcijan w ruchu ideowym, zwyczajowym, ustawodawczym czyż nie wynika z tego uroszczenia, by wyabstrachować dane Historii dla osądzenia ich według form z góry ustalonych.

Jest tu pycha tak niestosowna jak przebiegła, skażenie porządku boskiego: do naszych teorii należy zdawać egzamin przed rzeczywistością, a więc i Historią: ale nie do rzeczywistości i Historii — przed naszymi teoriami.

CHRZEŚCIJAŃSKA WOLA POZNANIA

Czyż nie będzie rozwiązaniem? Czyż nie znajdziemy sposobu osądzenia Historii, który nie dopuszcza żadnego „a priori”, nie skłania się do konformizmu, który jednym słowem respektuje nieprzerwaną nowość Historii? Prawdę powiedziawszy istnieje taka metoda jest nią rzetelna znajomość świata i jego spraw: wymaga ona bezsprzecznie wiele, ale w sytu-

cji w jakiej znajdujecie się, właśnie wy, nie wolno wam zaniechać dążenia do uczynienia jej dla was użytecznej i bliższej.

Przygotujcie się do niej z początkiem przez obszerną pracę informacyjną. Tak obszerną jak wasze środki i wasz wolny czas mogą na to pozwolić.

Ktoś kiedyś powiedział: „Gdybym musiał dać marksistowską definicję człowieka, powiedziałbym, że człowiek jest istotą stworzoną dla poznawania”. W istocie to tej woli poznania marksizm zawdzięcza po części to poczucie Historii, które stanowi jego siłę. Chciałoby się, aby chrześcijanie, wszyscy chrześcijanie pospieszyli nadać swej pracy kierunek, który przywróciłby ich szacunek dla żądzy poznania.

Zbyt zaniedbujemy dziś wiedzę, wiedzę dobrowolną: tę która nie odnosi się bezpośrednio do czegoś co mamy w danej chwili zdecydować lub dokonać. Tymczasem nie ma nic lepszego dla podważenia tej ciasnoty sądu, zapłodnienia wyobraźni, zaostrenia bystrości umysłu, dla doznania poczucia względności rzeczy, co jest początkiem sensu Historii. Również nie tak nie rozwija umysłu i inicjatywy. Katolicyzm nam to otwiera drogę i bez tej obiektywnej woli poznania — nie może być prawdziwej postawy miłości. Ale same zagadnienia, które stają codziennie przed nami, wskazują nam również tę drogę. Ta mała cząstka rzeczywistości i Historii, z którą stykamy się każdego dnia dostarczy światła tylko wówczas jeżeli będziemy w stanie poznawania ściśłego i głębokiego jej istoty i jej stosunków z całością. Otóż — czy nie widzicie ileż to wymaga zdobytej wiedzy, szerokiego zakresu informacji, by móc właściwie zrozumieć najmniejszy fakt, jakąś na pozór nie ważną sytuację, czy jakies wydarzenie długo oczekiwane?

Nie stawajmy się więc niewolnikami tego co nazwiemy być może z pewną dozą zarozumiałości „naszym” doświadczeniem. Dobrze wiemy jak ono jest ograniczone i że nie ma lepszego sposobu odcięcia się od rzeczywistości jak odwoływanie się do tego cośmy sami widzieli lub sami zrobili. Bogaćmy nasze doświadczenie, doświadczeniem innych. Krytykujemy je bez wątplenia, ale na de wszystko uważajmy i obserwujmy, zasilajmy nasz umysł lekturą. Powtarzam: ażeby stać się człowiekiem chrześcijaninem, co jest naszym ideałem do czego tęsknimy, wiele jeszcze musi poznać! Kierunki myśli, odkrycia, urzeczywistnienia, trudności czasów obecnych: historię kultury i cywilizacji także historię doktryn i instytucji chrześcijańskich... Czy ja wiem, co jeszcze?

Nie ulegajcie zbyt pochopnie przekonaniu, że program ten przekracza wasze możliwości. Nikt od was nie żąda byście się zamienili w chodzące encyklopedie. Po prostu korzystajcie z okazji, uczcie się właściwie czytać, zahamujcie czasem zbyt nadmierną aktywność: róbcie wszystko inteligentnie. Pozbądźcie się utilitaryzmu, który zajmuje się tylko natychmiastową korzyścią i którym jedynie pseudo-człowiek czynu ma naiwność chwalić się.

(dokończenie na str. 6-tej)

Aleksander Gella

REALIZM I ABSTRAKCYJONIZM

WSTĘP

Wzięto niegdyś za paradoks powiedzenie Wilde'a, że życie naśladowuje sztukę. Okazało się jednak, że i tak bywa. Czasem polityczny, gospodarczy lub społeczny ruch idzie w ślad za znakami, które na swych drogach stawia sztuka. Czasem bywa odwrotnie. Ona nie może nadążyć za zdobyciami innych dziedzin.

„Faktem jest, że mimo swej odwiecznej egzystencji ludzkość (jako tłum, ogół) pod względem świadomości estetycznej nie odznacza się zbytnią dojrzałością. Stosunek między sztuką, między nieliczną garścią wybrańców muz, a resztą świata jest wciąż zupełnie luźny” — pisał przed wojną. Tadeusz Dobrowolski, jeden z głębiej myślących malarzy dwudziestolecia. Z perspektywy naszych czasów sytuacja nie wygląda tak rozpaczliwie. Osamotnienie sztuki, które wydaje się wielu myślicielom zjawiskiem naturalnym i dla prawdziwej sztuki wiecznym, sądzę, że ustąpi wraz z likwidacją ustroju klasowego. Rewolucja ekonomiczna wyciągnęła nas na to piętro dziejów ludzkości, na którym możliwa jest już walka o równe uposażenia kulturalne. Podobnie jak możliwa stała się walka o równość gospodarczą dopiero po zdobyciu równości wobec praw przez Wielką Rewolucję Francuską.

Stanęliśmy więc w obliczu kolosalnych możliwości kształtowania kul-

tury. Uspołecznienie jej to etap pierwszy.

SPOJRZENIE WSTECZ

Jeśli chodzi o ten jej odcinek, którym się w tym artykule zajmuję, o malarstwo, to przede wszystkim należy sobie zdać sprawę z niemiłego faktu, że zagadnienia sztuki obracają się od wielu wieków w błędnym kole. Powątpiewam w rzeczywisty kontakt mas ze sztuką, nawet w najlepszych jej okresach. To nie zachwyt nad dziełem sztuki, kazał tłumom średniowiecznym z włoskich miasteczek nosić na rękach mistrzów bryły i koloru. Nie odczucie i przeżywanie artystycznych wartości, ani nie tęsknota za tym najdziejniejszym z przeżyć ściągająca paryskie tłumy do ... oglądanego za biletem „Porwania Sabinek”, któremu David zbudował osobne pomieszczenie.

Naśladowanie jest jedną z potrzeb natury ludzkiej. Potrzeba ta występuje tym wyraźniej, im prymitywniejszy jest człowiek, im niższa jest cywilizacja. Dopiero na szczeblu autonomicznej kultury, (bez względu na jej stopień w umownej hierarchii i bez względu na podłoże cywilizacyjne, z którego wyrasta) — zjawia się artystyczne przeżywanie rzeczywistości i jego wraz w nieświadomym zwykłe tworzeniu sztuki. Pierwocinami jest jednak zawsze sztuka stosowana.

Tworzy ją bez najmniejszego wyodrębnienia jej z życia, cały szereg, czy lud. Później garść osób obdarzonych zdolnością naśladowania zjawisk, zdarzeń i przedmiotów, naśladownictwu swemu wyrażanemu kształtem bryły, kolorem, dźwiękiem i ruchem nadaje sztuce inny charakter, z bogactwem ją przez smak i wyczuwanie harmonii, lub gry kontrastów, które rozwinęły się już poprzednio w prostym zdołnictwie. Działanie to jest początkowo podświadome. Prędko jednak wytwarza się specjalizacja, wyodrębniająca garstkę twórców z całości społeczeństwa i dopiero wtedy powstaje zjawisko historyczne, które, jeśli chodzi o naszą cywilizację, ma już wielowiekową tradycję. Artysty, szczególnie plastycy, żyją w klanie, do którego tajemniczo dostęp kupować trzeba w długim, mozolnym przedzieraniu się przez dżunglę powszechnych konwencji patrzenia.

SZTUKA A SPOŁECZENSTWO

Do niedawna nie było tego problemu. Artysty tworzyli i narzucali sposób widzenia. Przypuszczam, że ludzom gotyku zdawała się kopiowaniem i naśladowaniem rzeczywistości działalność Giotta, choć dzieła jego były zgoła nie-realne, abstrakcyjne. Renesans, podobnie jak barok i klasycyzm, w prawdziwych dziełach sztuki był tylko innym typem umiejętności podporządkowania czytelnym realnych znaków prawom

sztuki, której olbrzymi, a nigdy w całości niedostępny kodeks pozwala za każdym razem na inny „porządek”, zwany stylem. W naszych czasach ten powszechny dawniej entuzjazm społeczeństw dla sztuki zanika. Wśród współczesnych interesuje się sztuką tylko garść fachowców i mnóstwo snobów. Gdzie szukać przyczyn, tego ogólnego zjawiska? Myślę, że przede wszystkim zrewidować należy nasze sądy o kontakcie dawnych społeczeństw ze światem sztuki. Jestem przekonany, że istniał ów kontakt tylko w bardzo nielicznych okresach. Reszta to pozory. Ludzie potrzebowali sensacji. Dostarczała jej sztuka. Tłumy oblegały w ciągu wieków kolejno otwierane kościoły, później muzea i wystawy, ale czy szukały przeżyć artystycznych? Szukały sensacji. Bo sensacją jest już sam fakt, że jeden z tysięcy potrafi utrwalić zdarzenie gdzieś i kiedyś, że da ludziom ogarnąć i przeżyć jednym spojrzeniem to, na o powiedzenie czego potrzebowaliby tysiący słów. Sensacją jest również ukazanie sztuczki przez cyrkowca jest ukształtowanie kamienia na podobieństwo człowieka, lub kolorowe utrwalenie jego odbicia na ścianie czy płótnie. Ale o ile większą sensacją są odbicia ludzi i rzeczy poruszające się na ekranie! Dlatego to dawne tłumy z muzeum, czy kościoła, formują dziś ogonki przed kinami.

Nie dziwnego, że przyszedł czas rozłąki między sztuką, a społeczeństwem. Zamknięte w kręgu własnych potrzeb i zainteresowań grupy artystów zeszyły na tory formalnych poszukiwań, laboratoryjnych badań i analiz. Uświadomiono sobie głębiej niż kiedykolwiek istotę sztuki. Tworząc absurd, odsłaniało prawdy. W tysiącach eksperymentalnych doświadczeń odkrywano prawa sztuki, rządzące zamkniętą powierzchnią płótna i przestrzenią bryły.

PERSPEKTYWY

Czas burzenia starych poglądów i zasad dobiega końca. Nowy porządek społeczno-polityczny żąda od sztuki, by stała się do konstruktywnej pracy w tworzeniu kultury pełnej, prawdziwej, dostępnej wszystkim ludziom, a nie tylko „elicie”. Przed pracownikami kultury stoi olbrzymie zadanie istotnego zbliżenia mas do sztuki. Nie chcemy nawrotu do przeszłości, w której sztuka była tylko zabawą i sensacją dla tłumy, a narzędziem w rękach mecenasów. Pragniemy, by spełnieniem przez nią jej zadań społecznych było równe funkcje kulturalnej, a więc budzenia bezinteresownego wzruszenia, podziwu dla formy, sensu kształtu, logiki barw, celowości konstrukcji. Jakże wielką zdobyczą nowego świata będzie powiększenie skali wrażeń przeciętnego człowieka przez wprowadzenie go w sferę działania sztuki, dostępną dotąd jedynie dla nielicznych wybranych. Budujemy pomost między rzeczywistością społeczną i zamkniętym osobliwym światem sztuki o własnych prawach i autonomicznych wartościach.

SITUACJA OBECNA

Przeżywamy okres, w którym jedni artyści nie wydobyli się jeszcze z burzycielskiej pasji zrywania z tradycjami malarskimi i konwencjonalizmem patrzenia, a inni nie rozumiejąc jeszcze odkryć i zwycięstw epoki, rezygnując z poszukiwań, próbują nawiązać do mieszczańskiego realizmu ubiegłego wieku. Można, patrząc obiektywnie, zarzucić twórcom naszych czasów, że ich trochę zbyt pochopne szafowanie swobodą formy i rozluźnienie dyscypliny w rzemiośle, doprowadziło do rozrostu dyblentantyzmu. Dlatego wyłania się znów zagadnienie realizmu. Jest to jedno z zagadnień wywołujących masę nieporozumień. Realizm jest dziś je-

szcze czymś zupełnie innym dla konsumpcyjnego, czymś innym dla twórców. Społeczeństwo nadal uznaje kryterium podobieństwa do modelu za najlepsze!

PRAWA SZTUKI

Artysty po długiej wędrówce stwierdają — pod groźbą potykania się absurd — że jednak łączności z rzeczywistością zupełnie zatracić nie wolno. Nie oznacza to jednak powrotu do starego kameralnego realizmu. Można bowiem śmiało powiedzieć, że każda wielka twórczość łączyła zawsze świat rzeczywisty z abstrakcyjnym, samoistnym światem sztuki. Istotą sztuki jest abstrakcja, ale wielkość i wszytkie nieabsurdalne jej drogi i możliwości zaczynają się dopiero tam, gdzie wiąże swe autonomiczne prawa z logiką rzeczywistości. Z tego związku wyrosły najpotężniejsze okresy twórcze. Sztuka kiedy chce być abstrakcyjną w formie i treści upada, zmieniając się w zdołnictwo. Kiedy zapomina o abstrakcyjności swej istoty ginie również degenerując się w kiepski naturalizm, który jest już tylko pedantycznym kopiowaniem natury nie wiele mającym wspólnego ze sztuką. Wachlarz możliwości łączenia obu pierwiastków jest nieskończenie wielki. Różnice stylów zasadają się głównie na różnym udziale tych pierwiastków, lub obsadzeniu przez nie innych elementów dzieła. Sztuka egipska na przykład — posługuje się epokami najpowszechniej znanymi — jest bardziej abstrakcyjna od greckiej (niech się nikomu jednak nie zdaje, że sztuka starożytnej Grecji była realizmem w dzisiejszym tego słowa znaczeniu), ale już w równym stopniu, choć inaczej mało realna, a jednak czytelna, jak sztuka gotyku. Renesans — podobnie jak sztuka grecka — miał wszystkie pozory realizmu, a jednak nim nie był. Choć oddział pierwiastka realizmu był w nim niepomiernie większy, niż np. w sztuce bizantyjskiej.

PRZYCZYNA KRZYSU

W spadku po tym okresie wielkiej świetności sztuki europejskiej, jakim było Odrodzenie pozostały, między innymi, pozory jej zupełnego realizmu. Oddziaływały one przez wieki następne, jak sażyn na ciasto. Doszło wreszcie do tego, że w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku profesor Akademii Paryskiej Ingres wprowadzając rysunek wieczornym asonął się do ryzykownego twierdzenia, że: „Rysunek jest podstawą malarstwa”. Jego zdanie o osiągnięciach Rafaela w malarstwie, a starożytnych Greków w rzeźbie, jako szczytów ludzkich możliwości i wzorze do naśladowania miało olbrzymie konsekwencje. Sztuka aż do czasów impresjonizmu zbliża się coraz bliżej do tego realizmu, który w ostatecznej formie zmienia się w rzemiosło kopiowania przyrody.

NIEBEZPIECZENSTWO KOSMOPOLITYZMU

Broniąc kultur narodowych przed imperialistycznym kosmopolityzmem trzeba zwrócić uwagę na fakt, że sztuka oparta głównie na kopiowaniu natury, sztuka, którą pierwiastek realizmu opanował bez reszty, doprowadzając wreszcie do naturalizmu, stanowi najwygodniejsze pole dla penetracji kosmopolityzmu. Wyrasła z niego charakter fotografii jest wszędzie ten sam. Natomiast sztuka zrozumiata, czytelna, ale zachowująca troskliwie pierwiastek abstrakcji, sztuka, która stwarza własną rzeczywistość, a nie tylko naśladowuje, uchroni zawsze swą odrębność narodową. Pierwiastek abstrakcji wynika bowiem z charakteru i osobowości twórcy, pierwiastek realny zaś może najwyżej mówić o programach i stanowisku w aktualnych sprawach, nigdy zaś o jego odrębności duchowej.

A więc tylko związek obu daje pełną wielkość i pełnego znaczenia sztukę.

Aleksander Gella

WIARA I HISTORIA

(Dokończenie ze str. 5-tej)

REWOLUCYJNOŚĆ WYMAGA WYOBRAŹNI

Epoka nasza nie jest epoką reform, ale rewolucji. Rewolucja można rozpocząć, można ją wspólnie tworzyć tylko przy pomocy bogatej wyobraźni. Rozumiem, że zastanawiacie się czasem jaka jest wasza rola w rewolucji umysłowej XX wieku. Ale jakkolwiek skromnaby ona była — wypełnicie ją tylko posiadając zdolności twórcze i wynalazcze. To nie są tylko ankiety, statystyki, potężne in folio, które dadzą nam obraz prawdziwego ruchu Historii, ale i także intuicja. Nie jest rewolucjonistą ten, którego intuicja nie jest zdolna przewidzieć co zrealizuje Historia jutro. Ażeby również intuicja nie była proocentem głupim, fantasmagorią i urojeniem potrzeba by źródłem jej i postawą była szeroka znajomość rzeczywistości, jej praw i rozwoju w przeszłości.

Wyrzucam sobie używanie wielkich słów Rewolucja, Rzeczywistość, Historia i zawsze z dużej litery. Jednak nie przestałem pisać wywoływać waszego powołania, sprecyzowanych problemów, które stają przed waszą świadomością, podjętych przez was inicjatyw i tych, które jesteście zmuszeni powziąć. By objąć to wszystko, musiałem wszystko streścić w kilku abstrakcyjnych słowach. Ale wiedząc, że i wasz indywidualny przypadek też jest tu zawarty, że ot do was należy wyłowić go, postawić go przed wami w jego myśli zasadniczej i starać się go rozwiązać. Objasnając was o tym cośmy powiedzieli, byłbym bardzo zdziwiony gdybyście nie poczuli korzyści podejścia do waszego życia z większą wyobraźnią, a co za tym idzie z umysłem lepiej wyposażonym w „wiadomości”.

Ale jest to tylko przygotowanie. I ostateczne sędzienie Histo-

rii wymaga zupełnie czego innego.

SĄD ROZUMU I SĄD ŚWIĘTOŚCI

Starożytni rozróżniali — przepaszam za ten książkowy odnośnik — dwa sposoby sędzienia ludzkiego postępowania i rzeczywistości, która się doń odnosiła i sąd racjonalistyczny i sąd przez poczucie wspólnoty. Mówili oni — ten może sędzić o sprawiedliwości i niewinności, kto nauczył się od dobrego nauczyciela, co to jest niewinność, albo sprawiedliwość: ale lepiej jeszcze zrobi to ten kto dzięki naturalnej dyspozycji albo przez wysiłek jest sam sprawiedliwy lub niewinny. Z jednej strony sędzienie jest sprawą wiedzy: z drugiej płynie z instynktu, a raczej opiera się na „wartości istotnej”, tego kto sędzi. Z drugiej strony jest rozumowanie: z drugiej — ocena spontaniczna intuicyjna.

W tym rozróżnieniu znajduje się rozwiązanie, którego szukaliśmy. Niemożliwością jest dla nas sędzić Historię opierając się na ideach i zwyczajach, które każde z nich reprezentuje nawet częściowo, stan faktyczny wczoraj w Historii, ale dziś zmieniony i poza Historią. Pozostaje więc przyjąć zasadę sędzienia Historii przez ocenę spontaniczną, przez poczucie wspólnoty.

Jakże jednak ocenić wartości ludzkie, jeżeli się nami rzadzi skąpstwo, namiętność, przesady? Jak sędzić o osiągnięciach i wartościach chrześcijaństwa, jeżeli się człowiek sam chrześcijaństwem nie przejął. Jak sędzić o problemach Kościoła, jeżeli nie żyje się w Kościele?

Ale gdy posiada się znajomość wartości istotnych wszystko staje się łatwym. Chodzi wtedy o spojrzenie ducha w oparciu o rzeczywistość, o pozwolenie by rzeczy-

wistość przeniknęła w nas samych, by się objawiła. Nakoniec trzeba oczekiwać, by w tego rodzaju stopniu się człowieka z rzeczywistością dokonały się, sposobem naturalnym, niezbędne rozróżnienia.

Trzeba bowiem podkreślić, że kontakt z Historią, na przekór ogólnej opinii prowadzi nieuniknienie do pogłębienia osobistego. Po to, by być w Historii i zrozumieć Historię (przynajmniej nauczyć się nią posługiwać) trzeba przede wszystkim w ogóle „być”, współistnieć z rzeczywistością, a dopiero być człowiekiem i istnieć jako człowiek, być chrześcijaninem, istnieć jako chrześcijanin. Tak, to jest długie, trudne i nigdy zupełnie nieukończone! Tylko człowiek uduchowiony, człowiek, w którym żyje Duch jest zdolny do osądzenia wszystkiego.

Tylko święty mógłby całkowicie utrzymać swą rolę w Historii. I w chwili, gdy ta rola wydaje się niezbędną jest się opanowanym przez smutek, że się nie jest świętym.

**

Nie jesteśmy święci i z tego musimy sobie zdać sprawę. Nie możemy bez kontroli ustąpić śmiałości: nie możemy całkowicie korzystać z wolności dzieci Boga. I jeżeli, aby odpowiedzieć koniecznościom życia, by wziąć udział w postępie Kościoła, szukamy nowych dróg to robimy to ze strachem i drżeniem.

Jedną drogą przynajmniej jest przed nami otwarta, ta która jest zarazem naszą doczesną siłą i naszym kresem w Chrystusie. Wiara, Historia znaczą tu główne etapy. I jeżeliby nasza droga odsunęła się od jednej lub drugiej, mielibyśmy pewność, że uchybiliśmy naszemu powołaniu. Łasce, która spływa na nas od Pana.

Eugeniusz Paukšta

ZA ROGATKAMI KULTURY (IV)

Przypadkowo wymieniona w utworze odczytany na wieczorze autorskim nazwa miejscowości, jakieś powiązanie zasłyszanej treści z własnymi przeżyciami słuchacza, sam wątek tematyczny, może równie i chęć zabrania głosu — wszystko to i jeszcze niejedno w sumie przyczynia się do tego, że po paru pierwszych minutach oniesmielenia, po niezgrabnym, zająkliwym przerwaniu ciszy przez pierwszego odważniejszego z zebranych — dyskusja wybucha z gwałtowną siłą, ciągnie się do późna w noc, potraça o setki tematów, związanych nieco i niezwiązanych zupełnie z literaturą, pasjonuje autora i słuchaczy, wprowadza do zapomnianej przez wszystkich dziury prowincjonalnej wiew czegoś nowego. Czegoś, o czym się dotąd nawet nie myślało, a co okazuje się nagle niesłychanie potrzebnym, ba, nieodzownym niemal do życia.

Pełne podziwu spojrzenie młodego chłopaka, wytapiacza w reszelskich państwowych zakładach mechanicznych i odlewni metali, utkwione uporczywie w leżący przede mną na stole grubawy tom... A potem nieśmiało pytanie:

— I to pan sam tyle zapisał?... Jak to tak można zrobić?...

Pytania naiwne często, a jakże podchwytliwe. Pyta cię oto ten i ów o dalsze losy twych bohaterów powieściowych. Tu nie masz co silić się na tłumaczenie, czym jest fikcja literacka, o ile jest związana z życiem. Słuchacz z odlewni metali w Reszlu wierzy niezachwianie, że w książkach „pisze tylko prawdę”. Ta jego wiara trzeba zrozumieć i uszanować. Bo nowy czytelnik, którego tak, czy inną drogą, zdobywa się dla książki, pragnie szukać w niej prawdy, zależy mu, by w drukowanym znaleźć odpowiedź na dręczące go pytania, by gdzieś tam podpatrzeć może siebie, może tego czy owego z sąsiadów, coś z własnego życia.

Wydać mi się, że w masach robotniczych i chłopskich dopiero może na będzie odnaleźć prawdziwego odbiorcę, prawdziwego czytelnika literatury. Takiego, który nie będzie szukał w niej „smaczków”, ale rzeczywistego obrazu życia, przybranego w kształt artystyczny. Tym większej uwagi powinno wymagać wdrażanie do czytania tych nowych odbiorców kultury. Zawsze najłatwiej o zepsucie w wieku dziesięcym. Smak nowego czytelnika nie jest jeszcze ustalony — trzeba go przyzwyczaić od razu w delectowanie się rzeczami pożywnymi i zdrowymi, zostawiając na koniec, jeśli nie zupełnie eliminując, wszelkie podniecające przystawki.

Pobyt w Reszlu, pięknej miejscinie warmińskiej, zasłużonej historycznie, bogatej w architektoniczne zabytki, dostarczył mi wielu wrażeń w sprawach kultury, wrażeń, które pogłębione później przez inne obserwacje, zezwalają na wysnucie pewnych niezbyt budujących wniosków. Ale jednocześnie objawiają zalety świata tego, często całkiem nie doceniane i zapoznane, zalety świata głuchej prowincji warmińskiej i mazurskiej.

Reszel ma obecnie niecałe dwa tysiące mieszkańców. Obiekt więc dla działania kulturalnego ostatecznie nie ma. Jest tam oprócz szkół podstawowych i gimnazjum, jest nawet mała spółdzielca księgarenka. Duża część mieszkańców zatrudniona jest we wspomnianej już odlewni żelaza, w mechanicznej spółdzielni stolarskiej w pobliskim tartaku. Pomieszany element wiejski z robotniczym.

W Reszlu tylko raz dotąd był teatr z prawdziwego zdarzenia. Kino też pojawia się rzadko. Innych imprez kulturalnych, poza nudnooficjalnymi akademiami tam nie ma. Niżej podpisany był pierwszym z pisarzy, jaki latem bieżącego roku bawił w Reszlu z wieczorami autorskimi — jedynym zamkniętym dla robotników odlewni, drugim w sali Teatru Miejskiego dla ogółu mieszkańców miasteczka. To jest saldo dodatnie w dziedzinie imprez kulturalnych za ubiegłe lata. Młodzież studiująca otrzymuje pewną pożywkę w szkole podstawowej i gimnazjum. Ale lwia część społeczeństwa, tego nie posiada. Pozostaje całkowicie na marginesie kultury. Już nawet i poza rogatkami...

Reszel nie jest zjawiskiem odosobnionym. Czytam sprawozdanie H. Hermanowicza o efektywnych kulturalnych na Mazurach („Twórczość”, wrzesień 1949), reportaży Wł. Wnuka z objazdu Mazurów w roli „jeżdżącej literatury”, napotykam jeszcze tu i ówdzie jakieś notatki o sprawach kultury na tych ziemiach. Pewne osiągnięcia już są. Ale, dodajmy — tylko w pewnych miejscowościach. Obok nich istnieją dziesiątki jeszcze Reszłów, gdzie nie zrobiło się dotąd i nie robi, prawie że nic. Tam nie dotarł jeszcze „Czytelnik”, nie dotarli autorzy ze swym, wieczorami, nie wie nic o nich teatr ani Film Polski. Nauczycielstwo jest zaharowane częstokroć nad siły pracami w szkole. O ekspansji kulturalnej nazewnątrz nie może nawet i myśleć.

Może więc, o ile nie ma pomocy, działania z zewnątrz, dałoby się coś zrobić we własnym zakresie, przez przedstawicieli inteligencji miejscowej? Jako odpowiedź niech posłuży taka oto autentyczna rozmowa z lekarzem w jednym z powiatowych miasteczek Mazurów:

— A czytał pan, panie doktorze, głośną ostatnio książkę?...

— Dopiero o niej słyszę. Ja gazety nieraz tygodniami nie przejrzę... —...?

— Niech pan sobie zsumuje to wszystko i spróbuj rozmieszczyć w czasie, pozostającym do dyspozycji jednego człowieka... Jestem lekarzem powiatowym, prowadzę szpital. Prowadzę Ośrodek Zdrowia. Jestem lekarzem Ubezpieczalni Społecznej, lekarzem fabrycznym, lekarzem Milicji Obywatelskiej. Prócz tego stale, w dzień i w noc wzywany jestem do nagłych ciężkich wypadków. Panie! Ja nie wiem co się dzieje w medycynie, ja nie rozciąłem już pięciu numerów pisma lekarskiego. Gdzie ja mam znaleźć czas na czytanie książek. Jeśli śpię sześć godzin, to jestem szczęśliwy. O drugiego lekarza nie mogę się doprosić...

Na palcach liczeni inni inteligenci takiej miejsciny podobną w swej istocie przytoczą odpowiedź. Tych ludzi nie stać na ekspansywność kulturalną. Ich nie stać na odrobinę kulturalnej strawy dla siebie samych. Nie tylko nie mogą promieniować, ale i ich samych trzeba podciągać, trzeba im narzucić, dostarczać gotowe tworzywo kulturalne. A tęsknią oni za nim. Wypadki to paradoksalne, o jakich choćby wspomina Wnuk, że nauczyciele prowincjonalni, zagrzebani po uszy w najodleglejszych zakątkach wiejskich, zawiadomieni na czas, potrafią zrobić kilkanaście kilometrów pieszo do miejsca, gdzie odbyć się ma wieczór autorski. A potem nocą wracają z powrotem te kilkanaście kilometrów, by skoro świt, stanąć do co-

dziennej pracy. A jak ci ludzie chłoną każde słowo prelegenta! Tego w wielkim mieście się nie spotyka. Lekarz zrywa z sześciu godzin swe go snu trzy, by też choć przez moment otrzeć się o kulturę, w takiej czy innej formie jak rzadki meteor spadający na jego głuszę atrakcji. Jeżeli dyrektor fabryki dosłownie ze łzami w oczach dziękuje za prelekcję, wygłoszoną dla robotników i dla niego w świetlicy rady zakładowej, to nie jest to czcza manifestacja. To jest właśnie ten pęd do rzeczy wznioślejszych, do piękna, choć by w najskromniejszej postaci.

A w nieświadomionej tak wyrażnie formie, ale jak silny jest ten pęd w środowisku robotniczym. Jeżeli dostaje potem autor na ręce pismo rady zakładowej, w którym obok innych figuruje zdanie: „...dzień ten pozostanie długo w naszej pamięci”, podpisane niezgrabnie kilkunastu nazwiskami, to w tym piśmie, nie proszonym, skleconym samorzutnie, jest coś, co mówi niesłychanie wiele i co wzrusza głęboko, przejmując jednocześnie niemniej głęboką troską.

Sytuacja w małych miasteczkach Pomorza Mazurskiego jest jeszcze bardziej smutna kulturalnie, niż po wsiach. Nie we wszystkich miasteczkach, ale w tych, oddalonych od szlaków bardziej uczęszczanych, po zbawionych kolei, regularnej komunikacji, przymierających zwolna uwiadem starczym. Bo są i ośrodki inne, takie jak Giżycko, Kętrzyn, Ostróda — gdzie sytuacja przedstawia się znacznie lepiej. Ale to oazy, nie zmieniające niczym faktu straszego zacofania kulturalnego tej ziemi. Zacofania już nie tyle w sensie historycznym, spowodowanego szczególnie w tych stronach polityką Niemiec hitlerowskich, ale i zacofania ostatnich lat. Warmia i Mazury, jak dotąd, we wszystkim zawsze szły na ostatku... Były rezerwatem swego rodzaju, niezbyt chwalebny dla nas. Jakimś matczykiem niedostępnym i nie nęcącym szczególnie do stąpania...

Mazury pod względem kulturalnym, to dwa rejony. Jeden z nich stanowi Olsztyn z pobliskim okregiem, gdzie staraniem godnym najwyższego uznania niektórych jednostek robi się w ramach istniejących możliwości bardzo wiele, niewspółmiernie jednak w wynikach mało do potrzeb, drugi — pozostałe połacie Pomorza Mazurskiego. Tam z rzadka wysuwają się macki jaśniejsze w barwie, ale zaraz zresztą zmuśzane są do cofnięcia się. Już w Olsztynie nie ma ludzi do pracy kulturalnej. Na prowincji jest katastrofalnie. A co ludzie, gdy się znajdują, mogą zdziałać, niech świadczy przykład prof. Karola Małki i Jana Boenigka, kierowników Uniwersytetów Ludowych dla ludności rodzimej, mazurskiej w Rudziskach i Jurkowie Młynie. Tam się wpada w inny świat. Tym gorsze rozczarowanie czeka po opuszczeniu jego progów...

Teren jest kulturalnie niesłychanie chłonny. Nie wystarczy tu jednak powzięcie decyzji nasycenia go kulturą. Tu wylaną się jeszcze jeden problemat zasadniczy. Nasycaenie to powinno iść specjalnym torem, różniącym się w meto- d z i e od działania kulturalnego na innych obszarach Polski. Wypracowanie tej metody, przy uwzględnieniu specyficznej mentalności elementu osadniczego i jego niskim stopniu wyrobienia kulturalnego, przy uwadze na to, że jeszcze dotąd prowadzi się tam dla części ludno-

ci autochtonicznej kursy języka polskiego, kursy podstawowe, a jednocześnie przy zdaniu sobie sprawy z konieczności powiązania pracy obecnej z żywymi jeszcze w tym kraju tradycjami kulturalnymi minionych epok — poprzedzić musi wielką ofensywę kulturalną na ziemię Mazurską.

Wspomniałem powyżej o katastrofalnym braku ludzi, odpowiednio uzdolnionych do kierowania pracą kulturalną, niezmiernie tu złożoną i trudną. Rzucanie największych choćby funduszy, zasypianie całego obszaru gazetą, książką, sytuację tylko w części, a i to częstokroć jedynie pozornie polepszy. Wydział Kultury przy Urzędzie Wojewódzkim, Inspektorat kulturalno - oświatowy „Czytelnika”, Instytut Mazurski — muszą przybrać inne formy organizacyjne, niż w pozostałych województwach kraju. Sieć delegatur, ekspozytur itp. w terenie musi rozszerzyć się, by dotrzeć do każdego powiatu i do każdej niemal gminy. Placówki te muszą być solidnie wyposażone w fundusze i posiadać na czele ludzi bardzo ofiarnych, rozumiejących istotę swego, choć brzmi to szumnie, ale jest prawdziwe — p o s t a n n i c t w a na tej ziemi. Teren sam z siebie wyłoni takich ludzi tylko bardzo niewiele. Muszą oni przyjść w większości z zewnątrz. Sprawa niebezpieczna. Najlepsze chęci nie pomogą bez gruntownej znajomości terenu. Rozmieszczenie nowego elementu w terenie musi więc zostać poprzedzone specjalnym przeszkoleniem. Kierować nim muszą znów ci sami ludzie, którzy i tak dotąd harują ponad siły i możliwości, ludzie już zżyci z terenem, czujący go. Ludzie tacy jak dr Władysław Gębik, prof. Karol Małek, prof. Jan Boenigk, mgr K. Reczyński, mgr J. Antoniewicz, mgr Z. Rewski, E. Sukertowa - Biedrawina, prof. Mikoiójewska i jeszcze paru, liczonych na palcach, a którym zawdzięczać należy wszystko, cokolwiek się dotąd tutaj w sprawę kultury włożyło. Podkreślam przy tym raz jeszcze, że mimo że nie raz smutnych pozorów, włożyło się już naprawdę niesłychanie wiele. W stosunku do możliwości tych ludzi — nad podziw wiele; w stosunku jednak do chłonności terenu — wciąż mizernie mało.

Ujęte w ogólny plan działania kulturalnego, powinny zostać znacznie poszerzone wysiłki kulturalne poszczególnych instytucji czy organizacji, albo specjalnie powołanych dla spraw tego typu, albo uwzględniających je w swej pracy. Zbyt mało stanowczo jest tu aktywna „Samopomoc Chłopska”. Wbrew swym założeniom zdają się tamtejsi oficjali dość często zapominać o przyszłości, że „nie samym chlebem człowiek żyje”. Książka, pismo, mają tedy ułatwioną drogę na wieś mazurską. Trzeba ją znacznie poszerzyć. Trzeba równolegle wzmocnić wpływ na organizowanie chorów ludowych, na powstawanie teatrów amatorskich, trzeba poszerzyć wielokrotnie sieć świetlic, a w istniejących usprawnić pracę. Z kolei pragnąłbym słowami tymi zwrócić uwagę Zarządu Związku Literatów na zorganizowanie masowej akcji „żywego słowa” na ziemi mazurskiej. Dotychczasowe wysiłki „Czytelnika” i oddziału gdańskiego Związku Literatów — to dopiero zaczątek akcji. Wymaga ona przede wszystkim systematyczności. Nie dorażne, przypadkowe często wypadki, ale regularna akcja objazdowa poszczególnych miejscowości powin-

na zostać zapoczątkowana jak najszybciej.

— Żeby to choć co miesiąc tak ktoś z pisarzy do nas przyjechał, opowiedział, wytłumaczył cokolwiek, przeczytał, pogadał... — prosili gorąco robotnicy w Reszlu. A każdy z literatów, kto był na Mazurach, kto zetknął się tam z tą płonąca zaciekawieniem, żądzą poznania, zrozumienia i nauczenia się czegoś publicznością — niewątpliwie potwierdzi te słowa własnymi spostrzeżeniami.

Akcję „żywego słowa” na głuchej prowincji mazurskiej powinienby zorganizować na szeroką, długą falę Zarząd Główny Związku Literatów. Akcja ta powinna z jednej strony objąć wszystkie, najbardziej nawet zapomniane i na odludziu, z dala od szlaków komunikacyjnych położone, miejscowości, z drugiej zaś szeroki zastęp literatów ze wszystkich środowisk literackich Polski. Sprawy techniczne dałoby się uzgodnić łatwo z władzami miejscowymi. Finanse na pewno znalazłyby się na taką akcję z dotacji Ministerstwa Kultury. Dla realizowania sprawy trzeba by tylko dobrej organizacji i... dobrych chęci.

Jasna rzecz, że ani „Samopomoc Chłopska”, ani Związek Literatów czy inne instytucje, uwzględniające szerzej lub wężej w swej działalności sprawy kultury — zacofania kulturalnego ziemi mazurskiej nie zlikwidują. Ale przy jednoczesnym zwiększonym nacisku Ministerstwa Oświaty, przy bardziej intensywnej propagandzie czytelnictwa prasy, likwidację tego zacofania niezmiernie przyspieszą.

Rzecz ciekawa. Mazury stanowią niewyczerpane źródło tworzywa artystycznego. Literat, plastyk, muzyk — czerpać tu mają z czego. Tymczasem nigdzie na Ziemiach Odzyskanych nie jest tak trudno o ludzi sztuki, jak właśnie tutaj. Szczecin, Wrocław mają swe oddziały Związku Literatów, plastycy, jak np. we Wrocławiu zgrupowani są licznie i wnoszą wiele w dorobek ogólnopolski, muzyka znajduje również odpowiednie warunki rozwoju. Ba, nawet tak małe ośrodki, jak Górzów i Zielona Góra na ziemi lubuskiej, jak Wałbrzych i Jelenia Góra, mogą poszczycić się stosunkowo pokaźną już liczbą artystów. Na Mazurach jest inaczej. Jeszcze w muzyce jako tako, jest parę sił fachowych, dobrych, grupuje się koło nich nieco młodzieży; jeszcze tam i ówdzie zawieruszy się jakiś malarz czy rzeźbiarz; ale z ludźmi pióra jest beznadziejnie. Kompletna pustynia. Warunki materialne, myślę, że dałoby się stworzyć. Zresztą — do Warszawy nie tak daleko — tuż za międzę. Czy odstrasza pisarzy pionierska bądź co bądź rola, jaka im tak przypadnie? Czy pewne niewygody, jakie niesie za sobą prowincja? W przeciwwadze ma się takie typy ludzkie, taki natłok konfliktów dramatycznych, przyrodę owianą takim urokiem, że dziw, dziw najwyższy, iż dotąd Mazury nie potrafiły ściągnąć do siebie jednego czy drugiego literata na stałe.

Podobnie jałowo przedstawiała się czas jakiś sytuacja w Szczecinie. Zараdził na to doskonale wojewoda Borkowicz. Po prostu przygotował dla pisarzy ponętne pomieszczenia, zapewnił znośne warunki zarobkowania. Ściągnął tam wtedy, dołączając się do kilku już „autochtonów” Andrzejewski, potem Gałczyński, Gil, Woroszyński i jeszcze kilku innych. Środowisko literackie wzrosło

(dokończenie na stronie 8)

TYDZIEŃ KULTURALNY

Z notatnika radiosłuchacza

Szkolnictwo artystyczne

W dniach od 24 — 31 października odbył się pierwszy Tydzień Społeczno-Komitetu Radiofonizacji Kraju. Jego działalność obejmuje pomoc przy radiofonizowaniu 7.000 szkół i ponad 4.300 świetlic, w ramach tygodnia, w oparciu o zebrane 100 mil. zł, radiofonizowano jeszcze 3.000 szkół. Liczba abonentów przekroczyła 1.000.000 i wzrosła już o dalsze ca 100.000. Głościki 400.000 mieszkań na wsi i w mieście zasilają 700 radiowęzłów. Otwierają się i są w budowie nowe radiostacje. Ostatnio ukazała się w prasie notatka z wiadomością o projektowanej budowie na Śląsku nowej stacji krótkofalowej której zadaniem będzie nadawanie audycji poświęconych wyjątkiem zagadnieniom oświatowym i naukowym. Po otwarciu radiostacji centralnej nowy, zimowy program obejmuje nadawanie audycji przez 19 godzin bez przerwy.

Nie są to cyfry małe. Jesteśmy świadkami dziwnego zjawiska. Pod naszym bokiem rośnie — trzeba tu jasno postawić przymiotnik — olbrzymi ośrodek oddziaływania na kulturę. Wiemy o nim — ale przyjmujemy jego istnienie jako pewnik, nie wnikamy w jego treść, nie budzi on zainteresowania wśród krytyków, wśród prasy. Pośród różnych środków oddziaływania społecznego radio powoduje najmniejszy odźwięk. A przecież jest ono jednym z najpotężniejszych i wszechstronnych, można je postawić obok prasy i kina, zasięgiem swoim obejmując daleko większy krąg odbiorców niż teatr. Jednak w dziennikach nie znajdziemy omówienia bieżącego programu, w tygodnikach nie pojawiają się recenzje z audycji już nadanych. Gdyby sędzić o powszechności radia na podstawie reakcji — już nie tylko prasy codziennej — ale pism, które noszą podtytuły kulturalnych i społecznych można by dojść do wniosku, że jego działalność spotyka się z całkowitą obojętnością, że nie budzi odźwięku wśród słuchaczy, że wreszcie ustalony program jest jakimś żelaznym kanonem, niezmiennym i niewzruszalnym, który jednocześnie cudownie i uniwersalnie spełnia żądania wszystkich i wszystkie. Sporadyczne notki — tylko notki — i skrótały redagowane, umieszczane na poślednim miejscu, program przez swoją suchotę i oficjalność raczej potwierdzają to przypuszczenia.

A przecież tak nie jest. Zarówno słuchacz ma wiele do powiedzenia, jak i prasa może być czynnikiem mającym wpływ na program. Dość przypomnieć historię niefortunnie w początkowym okresie wybranych godzin nadawania transmisji z konkursu szopenowskiego. Trzeba było jednak aż Szopena, aby sprowokować reakcję.

Próbą usprawiedliwienia może być odpowiedź, że brak jest „ludzi pióra” (czy też jest ich jedynie mała grupa), których dostateczna — zarówno teoretyczna, jak i praktyczna — znajomość zagadnień radiofonii upoważniałaby do zabierania głosu. Jeżeli uznajemy to za słuszne wydaje się, że wówczas powinniśmy trzeźwo uświadomić sobie ten fakt i wypływające z niego konsekwencje. Zagadnienie nie rozwiąże się samo, sytuacja nie zmieni się nagle i nie znajdują się niespodziewanie niezbędni ludzie. Tymczasem królująca wszechwładnie cieża — jeśli już nawet nie jest snem — to wywołuje wrażenie oglądania się na przyszłość, która w cudowny sposób ma wyczarować owych wyczekiwanych fachowców. Wydaje się wątpliwe żeby bierny stosunek przyniósł jakkolwiek pozytywny skutek. Aby spowodować zmianę trzeba realnej pracy, trzeba tą pracę kiedyś rozpocząć. Podkreślam to słowo, gdyż wydaje mi się, że najbardziej istotne jest tu postawienie problemu i ruszenie z martwego punktu; że zarazem

sprawa ta jest tak aktualna, że gdy raz radio stanie się przedmiotem dyskusji żywotność zagadnienia będzie wystarczająca dla zapewnienia jej stałego rozwoju. W początkach zdarzać się mogą pomyłki i potknięcia — nie zaprzeczając jednak wartości przyniesionej przez nią będzie uświadomienie sobie istnienia zagadnienia, ścieranie się poglądów, powstanie postawy aktywnej.

Wydaje mi się, że w sytuacji jaka istnieje obecnie powinniśmy witać z największą radością głos nawet najbardziej naiwnego radiosłuchacza, nie bać się ewentualnych nieporozumień i błędów, bez których nie ma początków ale starać się o jak najszerszy krąg dyskusji, o zwielokrotnienie jej — a przez to i przyspieszenie dojścia do podstawowych sformułowań, osiągnięcia trwałego zainteresowania problemami radia i wyłonienia grona fachowych krytyków radiowych.

W międzyczasie należałoby wykorzystać istniejące możliwości, sięgnąć do wypowiedzi słuchaczy. Nie brak przecież ludzi, którzy w zakresie swojego zawodu mogliby zabrać głos i z ich stanowiska oświetlić zagadnienia — muzyków, nauczycieli, literatów, krytyków teatralnych, naukowców, dziennikarzy i wielu innych, których krąg zainteresowań obejmuje zakres audycji radiowych. Słuchowiska, audycje literackie, program muzyczny, audycje dla szkół i wszechnica radiowa, transmisje, czy reportaże, nawet dziennik radiowy nasuwają wiele tematów do tychczas leżących odłogiem.

W ogniu dyskusji można by dotrzeć do najbardziej celowych i atrakcyjnych metod i form pracy — z drugiej strony krytyka kształtowałaby również opinie publiczną, wywierała wpływ na odbiorcę, odgrywała rolę pośrednika pomiędzy twórcą i odbiorcą.

Sprawy tu poruszone były już omawiane poprzednio*). Tym razem chciałbym zwrócić uwagę na dwa fakty.

Dla wykształcenia fachowców konieczna jest pomoc radia, ułatwienie dostępu do pracy radiowej, dostarczanie materiałów itp. Ukazała się w prasie notatka informująca o publicznej dyskusji nad słuchowiskiem „Stalingrad” (opracowanym na podstawie sztuki M. Wirty „Bitwa Stalingradzka”, powieści W. Nekrasowa „W okopach Stalingradu” i korespondencji wojennych W. Grossmana). Miejmy nadzieję, że dyskusja ta jest ową przesyłowiającą pierwszą jaskółką, że Polskie Radio nie porzuci na jednej imprezie tego typu, ale w ślad za nią pojawiają się inne, — że wreszcie w konsekwencji będą się pojawiać w prasie nie krótkie i nieliczne notatki, ale obszernie omówienia. Miejmy również nadzieję, że obok „pokazów” przeznaczonych — tak jak w tym wypadku — dla literatów, artystów czy dziennikarzy zostaną zorganizowane i inne, które nawiążą bez-

*) „Z notatnika radiosłuchacza” Nr 13, 3.IV.1948 r.

organizowane i inne, które nawiążą bez-

Za rogatkami kultury

(Dokończenie ze str. 7)

poważnie i ożywiło się. A gdyby tak udało się namówić wojewodę olsztyńskiego do takiejsze inicjatywy? Jak by to było przyjemnie usłyszeć, że Breza np., Gołubiew czy Gojawiczyńska przeniesli się do uroczej stolicy olsztyńskiej nad rzeką Łyną? Może to by wreszcie nie tylko Olsztyn, ale i całe Mazury zbliżyło nieco do przedmieści kultury...

Zaścianek warmińsko-mazurski za daleko pozostaje od przemian kulturalnych, zachodzących w Polsce. Chciałby niewątpliwie wyrwać się z tego zacofania, ale bez gubernantki nie da sobie rady. Tęsknie spo-

pośredni kontakt także z ezarym odbiorcą i obejmą swoim zasięgiem i słuchacza.

Drugim faktem jest wynik ogłoszonego przez Polskie Radio konkursu na recenzję. Jedyne pismo tego typu „Radio i Świat”, (o ile mi wiadomo) ma ca 30.000 nakładu — a więc w praktyce wobec paradoksalnej dysproporcji cyfr ginie w milionowej masie abonentów i wielomilionowej masie słuchaczy jego jest jednak duża, gdyż jest jedynym pismem na łamach, którego można znaleźć obszernie wypowiedzi w sprawach radia. Jest w nim dział specjalnie ciekawy — dział listów słuchaczy, który, wobec miłczenia innych pism, jedyny spełnia rolę jak gdyby barometru opinii publicznej. W jego ramach drukowane są w tej chwili recenzje, które napłynęły na sierpniowy konkurs. Stanowią one interesujący materiał, i świadczą, że znaczny procent słuchaczy żywo i ze zrozumieniem reaguje na audycje i interesuje się problemami radia. Plon konkursu sierpniowego był tak obfity, reakcją słuchaczy tak zastanawiająca i pozytywna, że Polskie Radio postanowiło ogłosić stały konkurs na recenzję radiową.

Na zakończenie, jako pointa, wyjątek z recenzji Jerzego Beredy, studenta U. W., która uzyskała drugą nagrodę:

„Recenzja z audycji radiowej. To brzmi bardzo dziwnie. Sięgam po plik pism kulturalnych, przeglądam wiersz za wierszem, tam za łamem... Owszem, są recenzje z przedstawień teatralnych, filmów, koncertów, książek, ale z audycji radiowych... może pomyłka? Nie, „Polskie Radio” ogłasza konkurs na recenzję z audycji radiowej. To radio, którego program jest w dziennikach, które oplątuje siecią radiofonizacji cały kraj, które, jak mówi Prezydent Bolesław Bierut „staje się coraz bardziej nieocenionym instrumentem w rozwoju i upowszechnianiu kultury. Gdy do niedawna jeszcze, w starym przedwojennym układzie społecznym, było ono przeważnie tylko narzędziem rozrywki stosunkowo szczytów kultur — to dziś staje się zdobyczą kulturalną coraz liczniejszych mas społecznych”. O tym radio spotykamy jedynie cyfry, które ilustrują jego rozwój. Ale czy to jest wszystko? Czy interesuje się ktoś, jak to radio spełnia swoje funkcje, które sformułował Prezydent w przytoczonych powyżej słowach? Jak reaguje na to sejsmograf opinii publicznej — prasa? Zapytany wzruszę ramionami, na papierze postawię znak zapytania”.

**

Uwagi te nie pretendują do fachowości — film jest odległy od radia. Dlatego też te kilka słów ma taki tytuł — mają one być głosem w dyskusji, sformułowaniem uwag, które nasuwały się podczas chwil spędzonych przy głośniku. Zapraszam czytelników do wypowiedzi.

LESZCZ.

gląda za miedzę, ku warszawskim Parnasom. Tam się tego wdychania jakoś nie słyszy.

A szkoda, wielka szkoda. Nie tylko ze względu na Pomorze Mazurskie. Ale i ze względu na dobro i rozwój kultury ogólnopolskiej.

Za sanacji istniał podział kraju na Polskę A i B. Dziś w sensie polityczno-gospodarczym podział ten zasadniczo nie istnieje. Ale w dziedzinie kultury, boję się, że jest nie mniejszy, niż ten, który dzielił ongi wschodnie tereny od centralnych. A to chyba w Polsce współczesnej, w Polsce ofensywy kulturalnej, nie powinno mieć miejsca.

Eugeniusz Paukšta

Równoległe do reformy studiów wyższych — zainaugurowanego reformą wszystkich szczebli szkolnictwa artystycznego, podległego Ministerstwu Kultury i Sztuki, Obecnie mamy 86 szkół artystycznych państwowych i 194 szkół niepaństwowych (w tym 38 samorządowych). Liczba ta obejmuje szkoły wyższe (wszystkie państwowe), średnie, niższe, kursy, ogniska plastyczne, szkoły umuzykalniania. Reforma szkolnictwa artystycznego polegać będzie głównie na: a) upaństwowieniu reszty szkół, b) wyodrębnieniu ognisk plastycznych i ognisk umuzykalniania z siatki szkolnej i albo oparcie ich o szkoły ogólnokształcące, albo przekształcenie ich w metodycznie działające ośrodki pracy świetlicowej działające przy Z. Z., c) przekształceniu niemal całego szkolnictwa artystycznego w normalne, dwustopniowe (siedem lat i cztery lata) szkolnictwo zawodowe, dające swym uczniom prawa dalszego kształcenia się, lub też prawa wykonywania zawodu, d) istnieć będą szkoły artystyczne średnie, zawodowe, i szkolnictwo wyższe, również dwustopniowe (analogicznie do wyższych uczelni podległych Min. Oświaty): czteroletnie studia artystyczne dające uprawnienia zawodowe stopnia nie-akademickiego oraz ich akademicka nadbudowa w postaci zbiorczych studiów aspiranckich, dających uprawnienia naukowe i wirtuozowskie. Przy czym szkolnictwo teatralne odbywać się będzie jedynie na stopniu szkół wyższych. Reforma struktury szkolnictwa artystycznego łączy się również z reformą programową opartą na bazie ideologicznej marksistowskiej; młodzież artystyczna kierowną będzie głównie na pozycje realizmu socjalistycznego.

W związku z reformą studiów artystycznych — zorganizowany został w dniu 23—27 października, w Poznaniu, wielki Festiwal Szkolnictwa Artystycznego. Objął on szereg równoległych imprez, a mianowicie:

1) Wystawę uczniów wszystkich szkół plastycznych, mającą zobrazować istniejące wśród tej młodzieży kierunki artystyczne, bez względu na to jakie one są. Jak donoszą z Poznania, wystawa ta ujawniła, iż przeważająca ilość młodych artystów obraca się w kręgach tzw. formalizmu. Podział wystawy na szkoły i pracownie poszczególnych profesorów uczynił z niej przejrzysty przegląd kierunków i ognisk plastyki. Zwracamy uwagę pełne inwencji artystycznej prace z zakresu przemysłu artystycznego.

2) Pokazy szkół teatralnych, które wystąpiły z „Młoda Gwardia” Fiedajewa i montażami artystycznymi obejmującymi polską twórczość od klasyków do chwili obecnej.

3) Produkcję szkół muzycznych, m. in. wielki koncert kompozytorski studentów konserwatoriów, którzy wystąpią jako kompozytorzy i dyrygenci. Przy okazji warto zwrócić uwagę, iż znakomite — zupełnie rewelacyjne — rezultaty osiągnięte podczas Konkursu Chopinowskiego przez zespół polski przypisuje się powszechnie właśnie intensywnej pracy zespołowej. Ten typ pracy pragną obecnie polskie konserwatoria kontynuować nadal, by sukcesy podobne móc zyskać również w muzyce poza-chopinowskiej.

4) Zjazd pedagogiczny obradujący w sekcjach muzycznej, plastycznej, teatralno-choreograficznej, filmowej. Wzięli w nim udział rektorzy i profesorowie wyższych uczelni artystycznych,

5) Zjazd młodzieży tych szkół, który obradował dwa dni, zasadniczo tylko w posiedzeniach plenarnych — miał on więc charakter mniej roboczy, więcej manifestacyjny. Jedyne „młodzi plastycy” i historycy sztuki wzięli udział w młodzieżowej naradzie naukowej.

Program pięciodniowego Zjazdu Poznańskiego był niezwykle obfity. Wpływ jego na rozwój szkolnictwa artystycznego będzie zapewne poważny. Jeszcze nieraz wypadnie nam omawiać uchwały powzięte na Zjeździe i uchwały tych skutki.

ODZNACZENIE JURY

Prezydent RP przyznał Krzyże Komandorskie Orderu Odrodzenia Polski członkom Jury Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego: Sieriebriakowowi (ZSRR), Lang (Francja), Mendelsohnowi (Rumunia), Hadley (Anglia), Galindo (Meksyk), Oborin (ZSRR), który Krzyż Komandorski otrzymał dwa lata temu — obecnie udekorowany został złotym Krzyżem Zasługi.

ZWRACAMY UWAGĘ

Zwracamy uwagę naszych czytelników, iż ostatnio na półkach księgarskich ukazały się nowe wydania dwóch powieści Władysława Jana Grabskiego: „Konfesjonat” i „W cieniu kolegiaty”. Obie powieści dawno już wyczerpane — cieszyły się ogromną poczytnością wśród katolickich czytelników.

Z wartościowych wznowień należy wymienić wydany w PIW-ie Władysława Smoleńskiego „Przewrót umysłowy w Polsce w wieku XVIII”. Poza tym PIW wydał nową edycję znakomitej powieści czeskiej Jana Drdy: „Miasteczko na dłoni”.

AKADEMIE LEKARSKIE

Wyższe szkolnictwo medyczne poddane zostało reformie strukturalnej. Z dniem 1.I 1950 r. wydziały lekarskie wydzielone zostaną z Uniwersytetów i wraz z katedrami i klinikami wydziałów farmaceutycznych oraz stomatologicznych, utworzą one Akademię Lekarskie podlegające Min. Zdrowia. W ten sposób Akademia Lekarskie utworzone zostaną ze starych wydziałów medycznych uniwersytetów w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Lublinie, Poznaniu, Wrocławiu. Ponadto istnieje już dwie dalsze Akademie Lekarskie: w Bytomiu i w Szczecinie.

29 PAŹDZIERNIKA

29 października jako w 200-lecie śmierci J. W. Goethego odbyła się w stołecznym Teatrze Polskim uroczysta akademii zorganizowana przez Związek Literatów Polskich ku czci wielkiego poety. W czasie akademii po przemówieniach Polaków i Dłuskiego i Jastruna, głos zabrał przedstawiciel przybyłej na akademię delegacji pisarzy niemieckich.

STOWARZYSZENIE „OGNIKO”

XXI Zjazd Walny delegatów Polskiej YMCA obradujący w Warszawie, uchwalił:

a) zerwać łączność organizacyjną i ideową ze światową organizacją YMCA, jako pozostającą pod wpływami amerykańskiego imperializmu, b) zmienić nazwę Polskiej YMCA na Stowarzyszenie „Ognisko”, które przejmie majątek i kadry YMCA,

c) stowarzyszenie to ma być organizacją społeczną, działającą według wskazań Naczelnej Rady dla Spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej. Członkami stowarzyszenia prócz osób fizycznych obojga płci, mogą być i osoby prawne, a mianowicie CRZZ ZMP, ZAMP, ZHP, Liga Kobiet, SP, TPD oraz związki sportowe.

Kosym okiem

KULISY WIDOWNI

Teatr, to sanktuarium sztuki. Teatr to wychowawca i instytucja kształtująca nasz smak artystyczny, nasz gust i nasze upodobania.

Ba! Ale któż to rozumie? Jakże nieraz puste i beznadziejnie mieszczańskie jest podejście wielu ludzi do teatru. Jakaż część publiczności traktuje teatr jako odmianę cyrku, iluzji i widowisk idzie do teatru, bo przyjęło się, iż dobrze jest tam pokażać się od czasu do czasu, by mniemano, że człowiek posiada aspiracje kulturalne, ileż kobiet idzie do teatru w pierwszym rzędzie dla zademonstrowania swych strojów i zrobienia furory, w mniemaniu, że większość zebranych patrzy najpierw na nią, a potem na scenę, ileż kobiet za kulminacyjny punkt sztuki uważa antrakt i jego natrój?! Jednym słowem dla iluzji to ludzi teatr jest tylko łódka snobizmu, w której od czasu do czasu miło jest wypłynąć na fale malej, czy większej pychy.

Statystyk w tej dziedzinie nie zdobyliśmy nigdy. Nie dowiedzieliśmy się nigdy ilu inżynierów drzemało na ostatnim spektaklu Orestei, ilu doktorów ziewało na Fantazym, patrząc z niepokojem na zegarki, ani też ilu adwokatów układało plany ju-

trzejszej mowy obronnej, niepokojonych ze sceny głosem Hamleta, lub Ofelii.

Widownia teatralna na każdym przedstawieniu składa się z poważnej części tych manekiniów, które biją brawo wtedy, gdy ockną ich oklaski i które tęsknym okiem spoglądają ku wyjściu na przerastającej ich możliwości sztuce. Doznania artystyczne nie docierają do nich. Widzowie ci tkwią zamknięci w basztach swego niedorozwoju psychicznego, który odgradza ich od wrażeń promieniujących ze sceny. Gdybyśmy mieli oczy dostrzegające owe baszty, moglibyśmy dojrzeć, że wyrastają one z o trzeciego krzesła.

Dużo jeszcze wody upłynie w Wiśle nim pewna kategoria ludzi zrozumie, że jeśli do teatru ubieramy się schludnie, to dla tego, że okazujemy szacunek sztuce, a nie dla tego, że siadka będzie patrzyła, czy aby granat naszej marynarki nie jest z lekka spłowiały.

Z tym wszystkim jednakże pół biedy. Skoro widz wykupi miejsce i nie przeszkadza otoczeniu, nikt nie ma prawa robić mu jakichkolwiek wymówek. Kasy teatralne sprzedają bilety za okazję do zdobycia pewnych wrażeń, za dostarczenie szansy

przeżycia artystycznego. Kto szansy tej nie chce, lub nie umie wykorzystać płaci tyle samo i na tej podstawie nie może się domagać żadnej zniżki w cenie. Również krotkowzrocznym nie przydziela się automatycznie bliźszych miejsc.

Ciekawo to objaw, gdy niekulturalna widownia udaje obycie kulturalne. Przyjęło się, że maniery teatralne obowiązują tylko i dokładnie przez okres trwania przedstawienia. W momencie definitywnego zapuszczenia kurtyny lawina ludzka podrywa się z miejsc i tabun rozhluczanych „arystokratów teatru“ młynie cwałem do szatni, uwolniony już z więzów dystygowanego gustu.

No, tu dopiero wychodzi na jaw miernik kultury!

Ten sam swowłosy pan, w eleganckiej marynarce, i nie-nagannie czystą chusteczką, który snobizował się, opowiadając swej towarzysze o wadach i zaletach Sartra, murkuje teraz w tłum skupiony prze pękach palta i kapeluszy, wykonuje kilka ruchów zawodowego cwałisty, wreszcie zgina łokieć przed pierśią i prze naprzód, jak plug do usuwania śniegu, który w zimie przyczepia się przed lokomotywami.

Gdzie indziej wysnuły młodzian przestępuje z nogi na nogę, oczywiście nie ze swojej na swoją, ale z cudzej na cudzą, mknie do kontuaru, gdzie zbita cięba ludzka trzyma się jedną ręką szatnianej lady, a w drugiej trzyma wyciągnięte numerki, pobrzękując nimi, niby barany na wypasie.

— Proszę pani 68, proszę pani 56, proszę pani 75, proszę pani 16...

Kiedy już uchwyci się kolnierza palta, wtedy jeszcze trzeba przeciągnąć je przez walec tłumu, torując sobie drogę nadstawionym końcem parasola.

A przecież rozwiązanie jest takie proste. Wychodzić rzędami. Najpierw ostatni, później przedostatni itd. No, ale do tego trzeba czegoś więcej niż kultury teatralnej, to jest kultury dwugodzinnej, trzeba kultury w ogóle, kultury bez żadnego przymiotnika, kultury na stałe.

Spojrzenie na teatr nie jako na scenę, ale na widowie jest bardzo pouczające.

Problem wychowania widza jest o tyle trudny, że nie ma go kto wychowywać.

Widz nie jest dzieckiem, które można wychować w domu, lub szkole. Widz przeważnie sam jest wychowawcą własnych dzieci i uważa się za talent pedagogiczny. Duża ilość spośród tych talentów znalazła jednak rozwiązanie dla przykrej sprawy tłoku w szatni. W czasie ostatniej przerwy idzie się do szatniarki, bierze się palto i ułożywszy je sobie na kolanach wysłuchuje się ostatniego aktu.

No, tak. To prawdziwie „kulturalne“ rozwiązanie. Tylko publiczność zapomina o jednym. Za rok, gdy już wszyscy będą brać ubrania z szatni przed ostatnim aktem, powstanie tam w czasie ostatniej przerwy taki sam tłok, jaki panuje dzisiaj po zakończonym przedstawieniu. Ale i wtedy znajdzie się wyjście palta odbierać się będzie po pierwszym akcie. Zresztą, co też to będzie za rok? Après nous le déluge!

Film

„Spotkanie nad Łabą”

Akcja filmu zaczyna się w chwili zdołania przez Armię Radziecką małego niemieckiego miasta położonego nad Łabą i zakończenia działań wojennych. Tematem filmu jest organizacja nowego życia w Niemczech i sprawa stosunków radziecko - amerykańskich.

Oba tematy zostały ujęte dynamicznie i niezwykle sugestywnie. Film pokazuje trzy etapy życia w Altenstadzie, stopniowo kontrastuje rozwój stosunków na obu brzegach Łaby i równo cześnie rozwija podwójny konflikt dramatyczny który jest osią wiążącą poszczególne części.

Ow podwójny konflikt dramatyczny to sprawa profesora Dietricha i amerykańskiego majora Hilla.

Dietrich profesor niemiecki ucziwy człowiek chce zachować postawę neutralności politycznej, patriotyzmu apolitycznego. W jednym z początkowych epizodów filmu mówi do komendanta radzieckiej strony miasta majora Kuźmina „nie lubię nazistów tak samo jak nie lubię was“. W ramach akcji filmu zostaje przedstawiona ewolucja jego postawy. Dietrich przewyżcza niechęć do ideologii którą reprezentuje Kuźmin, i przelamuje swoją bierną postawę wobec zjawisk politycznych zachodzących w Niemczech i na całym świecie. Porów nawszy stosunki na obu brzegach Łaby staje się zdecydowanie po stronie tego świata, który buduje się po stronie radzieckiej.

Hill major amerykański nauczyciel w cywilu, w chwili spotkania obu armii nad Łabą ofiarownie szczerze przyjaźni majorowi Kuźminowi. Jest podobnie jak Dietrich człowiekiem apolitycznym, pragnie jak najszybciej wrócić do swojej pracy zawodowej i cywilnego życia. Mianowany komendantem amerykańskiej strony miasta, prowadząc oficjalne rozmowy z Kuźminem równocześnie patrzy, obserwuje i ocenia zjawiska w których bierze udział. Stara się zrozumieć procesy których jest świadkiem. Jego konflikt z oficjalną polityką amerykańską pokazuje narastanie różnic, które dzieliły stopniowo coraz wyraźniej poglądy dowódców i zwykłego ucziwego człowieka w strefie amerykańskiej Hill nie jest i nie staje się komunistą niemniej jego przyjaźni z majorem radzieckim wystarcza aby skierować na niego podejrzenia. Zdegradowany, zostaje wysłany do Sta now Zjednoczonych, gdzie ma stanąć przed komisją do badań działalności anty - amerykańskiej.

Los tych obu ludzi bardzo wymowny ich przeżycia i zmiany wewnętrzne ty powe i charakterystyczne.

Kuźmin i general amerykański są postaciami spełniającymi w filmie inną rolę niż Dietrich i Hill. Obaj nie podlegają ewolucji. Są reprezentantami swoich światów. Kuźmin poznajemy nie tylko poprzez to co mówi i przez bezpośrednie pokazanie jego działalności, ale także przez wrażenie, jakie wywiera jego postawa nawet na przeciwników. Oto nawet amerykański senator ocenia dojrzałość polityczną radzieckiego komendanta a działacza wywiadu amerykańskiego z uznaniem mówi o jego politycznych i osobistych zaletach. Wynowa przeciwstawienia postępowania Kuźmina i amerykańskiego generała została wzmocniona wszechstronną epicką wizją rozwoju stosunków na obu brzegach rzeki.

W strefie radzieckiej troską organizatorów jest jak najszybsze zwalczanie resztek hitleryzmu i stworzenie nowego zdrowego życia.

„Nas naprawdę interesują Niemcy i ich los“ mówi major Kuźmin.

Widzimy ludzi których wysuwa administracja radziecka, ludzi wartościowych — i tych na których oparła się administracja amerykańska ex - hitlerowców lub aferzystów. Widzimy troskę Kuźmina o stworzenie szkoły i wychowywanie pokojowe młodzieży niemieckiej i widzimy jak w amerykańskiej strefie musztruje się oddziały stworzone z chłopek niemieckich. Przeciwstawiona zostaje polityka organizowania, polityce niszczenia i rabowania, polityka wykorzystywania najlepszych cech ludzkich — tej która opiera się i wyszukuje najlepsze instynkty.

Reżyser G. Aleksandrow dał doskonałe ujęcie scen zbiorowych. Moment spotkania nad Łabą i przywitania obu armii legitymuje chyba najdoskonalej talent reżysera. Bardzo trafna jest za stosowana symbolika, wyzyskanie motywu podnoszącego się w ostatnim epizodzie mostu scena pływających transparentów, słuszny i celowy dobór wykonawców. W. Dawidow w trudnej roli majora Kuźmina potrafił dać doskonałą sylwetkę młodego pełnego entuzjazmu i dojrzałości politycznej oficera radzieckiego, unikając całkowicie deklamacji i sztucznego patosu. Również J. Jurowskij w roli Otto Dietricha jest bardzo ludzki i ujmujący.

Film mówi o sprawach aktualnych ujmując zagadnienia polityczne i ideologiczne bardzo jasno i sugestywnie przez mawiając filmowymi środkami ekspresji. Akcja jest dobrze skonstruowana, pasjonująca, proporcja między zawartością publicystyczną a środkami ekspresji artystycznej wydaje się trafna.

LESZCZ

NIEPOTRZEBNIE

(Dokończenie ze str. 4-tej)

I po raz ostatni wrócili do rytmu wiosel, a trwałoby to jeszcze bardzo długo. Woda uniosła ich nagle nad łódź. Dłonie zaciśnięte na wiosłach otworzyły się zagarniając napływające fale. Dopiero po chwili dotarło do ich ciał uczucie piekącego ucisku na piersiach i plecach. Rysiek krzyknął i spotkali się dłońmi. Zaczęli płynąć razem potracając się lekko. Czasem łykali wodę, a to bolało. Potem uchwycili rytm fali i przeskakiwali je. Ryska opanowało zupełne odrętwienie wewnętrzne. Nie czuł nic. Przeszawał istnieć. Płynął jednak. Obudził się uderzwszy ręką o coś twardego. Krzyknął przeraźliwie jak dziecko wyrwane niespodziewanie ze snu. Olek również natrafił na przeszkodę. Był to pień drzewa. Jego długość amortyzowała kołysanie fali. W gniewnym żywiole leżało nieruchomo i obojętnie. Uczepili się go z całych sił. Równocześnie wróciły wszystkie dolegliwości. Nogę Ryska wykręcił skurcz. Jego myśl była tak dalece unicestwiona, że nie stać go było już nawet na radość, bo przecież skurcz mógł być chwycić wcześniej, zanim uczepił się drzewa. Spróbowali posuwać się wzdłuż pnia. Trwało to długo — szli bowiem milimetrami. Ale koniec był tylko nieco węższy od początku, dna pod nim nie było ani brzoğu za nim. Przytulili się do siebie. Rysiek z trudem wtoczył palce jednej dłoni w palce drugiej. Inaczej nie mógłby się utrzymać. To trwało...

Ogarniał sen. Budziły mocniejsze uderzenia i łyki wody. Chwilami ginęło wszystko i zmysły zacierały się. Wtedy było dobrze. Powroty do rzeczywistości boliły. Rysiek szukał wówczas twarzy przyjaciela, ale była to tylko niewyraźna plama. Znow oddalił się od tego wszystkiego...

Ważne było tylko to, że odeszło spośród nich dwoje doskonałych, mocnych ramion i młodych, przyjaznych głów...

Tak strasznie... i tak niepotrzebnie...

Nowe uderzenie było mocniejsze od poprzednich. Odruchowo uchwycił zębami za korę. Zesłiznęły się — w ustach poczuł drobne gąbczaste okruchy. Tymczasem twarz Olka znikła. Nie dopuścił do ponownego omdlenia całym wysiłkiem woli, poczuł jednak ręce tamtego, pełzające po jego piersiach. Okruch świadomości, jakaś pół-myśl szepnęła, że przyjaciel trzyma się. Poczuł jeszcze jak szarpie się. Poczuł jeszcze jak szarpie się za pas pepeszy. Pomyślał — „Dobrze“ i „Pepesza niepotrzebna“ — nie, nie był już w stanie uświadomić sobie, że ktoś trzymający go za piersi, musi cały znajdować się pod wodą. Slabnące, osuwające się gdzieś w dół uściski nie docierały do niego. Sen, pełny, dobry sen powrócił z chwilą, gdy tamten puścił zupełnie. Czy trwał długo?...

Po obudzeniu powróciło jasno — Olka nie ma! I wtedy wydawało mu się, że on musi być tuż gdzieś pod nim, bo przecież czuł go jeszcze przed chwilą. Nabrał powietrza do ust — wdzierało się opornie, ze świstem dobywającym się gdzieś pomiędzy gardłem a uszami. Z trudem rozplątał dłonie. Jego zwolnione ruchy nie były już potrzebne — szedł w głąb powoli, lecz nieustannie.

Koledzy jeszcze długo mówili o tym wypadku. I o nich. O tym, że byli tak różni, a tak podobną śmiercią zginęli. Mówili, że Olek brał każdą sprawę serio, a Rysiek robił ze wszystkiego śmiechy...

Nie! — Nie trzeba było tak mówić — to już nie było ważne!

Ważne było tylko to, że odeszło spośród nich dwoje doskonałych, mocnych ramion i młodych, przyjaznych głów...

Tak strasznie... i tak niepotrzebnie...



Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

W sprawie odbudowy Opactwa Tynieckiego

Tym razem chcę na łamach tygodnika „Dziś i Jutro” poruszyć zagadnienie, które nie wiem dlaczego nie znalazło dotąd należytego odzwierciedlenia na łamach polskiej prasy katolickiej. Zagadnieniem tym jest odbudowa Opactwa Tynieckiego.

Trudno by mi było w ramach tego skromnego listu do Redakcji chociażby pobieżnie zapoznać Czytelników z historią Opactwa. Tytuł powiem, że założył je w pierwszej połowie XI wieku prawdopodobnie Kazimierz Odnowiciel. W ciągu swych dzieł klasztor był kilkakrotnie palony i niszczone, począwszy od najazdów mongolskich, a skończywszy na obronie Tyńca przez konfederatów barskich. Na skutek tego na terenie klasztoru nawarstwiały się i zalegały kolejno style i kierunki polskiej architektury. Głównie jednak uległ klasztor zniszczeniu z początkiem XIX wieku na skutek katastrofy Opactwa przez zaborczy rząd austriacki. Dziś ofiarnym trudem ojców Benedyktów, których powtórny ingres nastąpił w 1939 r., tuż przed wojną — Opactwo dźwiga się w ruin. Prace rekonstrukcyjne znajdują się w pełnym toku, o ile pozwalają na to skromne fundusze, którymi konwikt rozporządza.

Pragnę zapytać z tego miejsca wszystkich tych, dla których sprawa kultury nie są obce, dlaczego tak mało się mówi i pisze o Tyńcu.

Co konkretnego zrobiliśmy, żeby dopomóc Ojcom Benedyktynom w ich trudnej pracy uratowania dla Polski i dla całego świata, około 900 lat liczącego zabytku?

Chciałbym, żeby ta moja notatka wywołała burzliwą dyskusję. Wierzę, że jakiegokolwiek będą jej wyniki, wyjdzie ona na korzyść sprawy odbudowy Opactwa Tynieckiego.

Brodaty Żubr

Jeszcze o sztuce religijnej

Polemizując z p. Jasienicą o sztuce kościelnej p. Zygmunt Jakimiak w jednym ze swych artykułów zamieszczonych w „Słowie Powszechnym” napisał zdanie, które musi zastanowić i zaciekawiać każdego, kto ma elementarne choćby pojęcie o sztuce, na którego ona choć trochę oddziaływała. „Dzieło treści religijnej — pisze on — wzbudza w nas miłość bożą, udziela nam swego ducha żarliwości, wdzięczności i wprawia nas w zachwyt religijny. Dzieło zaś czystej sztuki może w nas wzbudzić czyste estetyczne uczucie zadowolenia”.

Słusznie p. Jasienica w swej wypowiedzi na ten artykuł wspomina o nierozdzielności treści i formy w dziele sztuki. Można się zgodzić jednak z panem Jakimiakiem na pierwsze z cytowanych zdań pod warunkiem, iż założymy, że mamy na myśli takie dzieło treści religijnej, które jest dziełem sztuki.

Prof. Konrad Górski w swej ciekawej książce „Początek sztuki” pięknie w dziele sztuki definiuje w ten sposób: „Piękno jest to doskonały wyraz treści duchowej, która miała być wyrażona. Innymi słowy piękno jest stosunkiem arcykwantnej (całkowitej) zgodności wyrazu z wyrażoną treścią”.

Przyjmując tę naukową definicję piękna jako kryterium sądenia dzieł sztuki, musimy dojść do wniosku, że dzieło sztuki o tematyce religijnej jeśli jest piękne, a więc

jeśli artysta dał w nim adekwatny wyraz swoich przeżyć — musi zawierać także treść religijną, tym głębszą im jest ono piękniejsze w obiektywnej hierarchii estetycznej.

Prof. Górski bowiem pisze: „Z dwóch dzieł sztuki to jest cenniejsze, którego treść duchowa była trudniejsza do wyrażenia. Bo skoro dana treść duchowa była trudniejsza do wyrażenia, to osiągnięty jej wyraz jest czymś wyższym od wyrazu treści pospolitej i łatwiejszej, wyższym nie na płaszczyźnie moralnej, ale estetycznej”. „Celem sztuki jest stworzenie dzieła, w którym pewna forma zostaje wyciśnięta, odbita w odpowiedniej materii, natomiast działaniem sztuki — pisze prof. Górski w innym miejscu — jest wywoływanie w nas pewnych stanów uczuciowych, powstających skutkiem dostrzeżenia owej formy czyli percypowanie piękna”.

Ponieważ dzieło sztuki im piękniejsze w obiektywnej hierarchii estetycznej, tym głębsze w swej treści, a działaniem jego jest wywoływanie w nas stanów uczuciowych podobnych do tych, jakie przeżywał twórca w chwili tworzenia — możemy śmiało powiedzieć, że dzieło sztuki o treści religijnej im jest w obiektywnej hierarchii estetycznej piękniejsze, tym głębsze wywołuje w nas wrażenia i przeżycia nie tylko natury estetycznej, lecz również religijnej. A to wtedy oczywiście, gdy twórca osiągnie w nim pełny swięty treści duchowej wyraz, co się zresztą nierozdzielnie łączy z ową estetyczną hierarchią. Ale na to potrzeba prawdziwego artysty.

Gołubiewowi chodziło właśnie o przeżycie religijne. Walczy on z kiczami między innymi dlatego, że nie oddają prawdy, a więc o ile nawet wywołują jakieś religijne przeżycia, to te przeżycia są niezgodne z prawdą o Bogu. Na przykład: cukierkowane oleodruki czy obrazki Matki Boskiej wywołują w odbiorcy przeżycia właśnie cukierkowane, a więc niezgodne z prawdą o Niej.

Tylko prawdziwe dzieła sztuki religijnej mogą prowadzić ludzi do głębszego zrozumienia prawdy chrześcijańskiej.

Janusz Odrowąż-Pieniążek

Kochana Redakcjo

W nr 41 „Dziś i Jutro” ukazał się artykuł J. P. Gawlika „Dżolery”. Artykuł ze swych miar słuszny i bynajmniej nie zamierzam tu bronić „uroczych” młodzieńców tak dobrze nam znanych z kawiarni, dancinów i letnisk. Zjawisko zostało zresztą naświetlone dobrze. Zastanawiam się jedynie nad tym, czy dżolery stanowią klan tak bardzo różny od przedwojennej „złotej młodzieży” i czy za granicą istnieją analogiczne grupy. Trudno tu zresztą coś powiedzieć. W czeskim filmie „Przeczenie” mieliśmy bardzo wyrazisty i przekonujący obraz tamtejszego dżola. Również Horodyński pisał o tym kiedyś z Paryża. Prawda, że tam nazywa się to „egzystencjalizmem”. Ale jak sądzę zmienia się jedynie skala wyrobienia intelektualnego, zmienia się atmosfera (stolica świata!) i „couleur local”. Rekwizyty pozostają. Zresztą nie o to chodzi.

Chcę się przyczepić do jednego zdania. Brzmi ono: „W tym gronie ponurymi rozrywkami jest kibicowanie meczów piłkarskich, karty, filmy w rodzaju „Gildy”, jazz i — oczywiście — na poje alkoholowe, wśród których wódka ma uprzywilejowane miejsce”. Zdanie to, nieco ogólnikowe, zatracą zakurzonym purytanizmem. Jest trochę patriarcalne i trochę za szybko napisane. Zresztą doprawdy nie wyobrażam sobie Ja na Pawła Savonaroli - Gawlika odnoszącego się z dystygowaną wyższością do pasjonujących rozrywek „Craco-

vii” i „Wisły”, grającego jedynie w ser so, chodzącego wyłącznie na filmy w rodzaju „Sądu Honorowego” i popijającego go li tylko wodę sodową. Jest w tym wszystkim trochę przesady i trochę uogólnienia.

Porozmawiajmy szczerze. A więc kibicowanie. Jest rzeczą wiadomą, pisano i radzono nad tym sporo — a poprawa już jest widoczna. Że na naszych boiskach rozpowszechniło się niebylewałe chamstwo i awanturnictwo. Nie zmienia to jednak faktu, że piłka nożna, i to nie tylko w naszej parafii, ale na całym świecie jest sportem, którym się pasjonują wszyscy bez względu na wiek i stanowisko. A sam fakt kibicowania — zdaje mi się, że od czasów Homera nikt nie umiał się zdobyć na obiektywizm, jeżeli obserwował i interesował się jakimikolwiek rozrywkami. Zresztą widać „Łopata do głowy” z nr. 40 „Tygodnika Powszechnego”. Stoi tam wyraźnie napisane że Zagórski jest kibicem Wisły, Żółkiewski K. S. Szombierki, a sam Kisiel L.Z.S. Wolni Klaj.

Punkt drugi — karty. I tu rozumiem Gawlika. Chodziło mu o nocne nasiedówki karcino - wódczane, hazard itd. Słusznie — ale nie powiedział tego wyraźnie. Za jednym zamachem przekreślił wszelkie gry w karty. Niestety — nie tylko wśród dżolery i nie tylko w Polsce karty są wielką rozrywką. Rozrywką niebezpieczną — bo grożąca namiętności. Rozrywką niebezpieczną — bo grożąca często niezbyt wielkim zarobkiem. Nie zmienia to jednak faktu, że byrd jest grą międzynarodową i grą ciekawą. Byłe tylko grać z umiarem i grać dobrze. Przekroczenie tych dwóch warunków powinno być policyjnie ścigane.

Punkt trzeci — film. Zbyt wiele pisano ostatnio o wielkiej roli wychowawczej tej sztuki, by należało raz jeszcze powtarzać te truizmy. Pozwólcie nam od czasu do czasu oglądać banalne, lekkie komedie, nieszkodliwe, ale moralnie najzupełniej puste „kryminały” i „sensationy”. To tak jak z literaturą. Doprawdy nie wszyscy chcą czytać wyłącznie Balzaca i Gorkiego. Czasem do łóżeczka albo do wagonu wybaczyć, że wędrowni Wallace lub Agate Christie. Doprawdy nie rozdierajmy szat i nie katonizujmy się nawzajem, by potem cichutko biegać na bardzo marne i bardzo wyczerpujące filmy w rodzaju „Gildy”.

A jeszcze jazz. Przypuszczam, że autor nie orientuje się co to jest jazz. Przypuszczam, że jazz utożsamia z „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem” z „Spotkałem ją u skraju alej” itd. Jazz — prawdziwy — jest bardzo specyficzną muzyką i jeżeli zastostujemy do niego odpowiednią miarę — jest dobrą muzyką. Ostatecznie nie samym Mozartem i Palestriną człowiek żyje, a skoro chce się czasem zabawić lub potaćzyć, to chyba nie musi zaraz skakać do katarzynki lub do celiwych walczyków. Niestety poziom „zespółów jaz zowych” jest u nas bardzo niski (w przeciwstawieniu do Czechosłowacji). Najczęściej nie mają z nim nic wspólnego. A zresztą jeżeli J. P. Gawlik nie do wierza moim muzykologicznym uwagom, niech uczęszcza na ogłoszone niedawno przez Profesora Kisiele wykładu pt. „Jazz jako wyraz epoki”. Chyba ten autorytet wystarczy.

Ostatniego punktu — wódki, nie zamierzam bronić. Jest to zbyt poważny problem by kpinować. Problem niezwykle trudny do rozwiązania. Zresztą wykracza poza ramy moich uwag.

I raz jeszcze się zastrzegam — nie bronie dżolów. Nie bronie również spaczonych, wykoszlawionych obyczajów naszej młodzieży. Chodzi mi tylko o pewną szczerłość i precyzyjność. Zbyt wiele rzeczy pisze się w naszej prasie „na wiatr”, „żeby ładnie brzmiało”. Zdaje się, że do prawdziwej moralności dojść można jedynie drogą szczerości. I łatwiej się wówczas porozumieć i łatwiej wyjaśnić.

Jeżeli Redakcja uzna te blachostki za godne druku — to proszę je zamieścić w Waszej serdecznej rubryce „Czytelnik jest przekonany, że...”

Tadeusz Chrzanowski

Czytajcie

„Słowo Powszechne”

O Chestertona po polsku

W zakończeniu swojego artykułu „Jeszcze o humanizmie chrześcijańskim” („Dziś i Jutro” nr 202), Karol Zajaczniewski przypomina, że nie mamy jeszcze polskich tłumaczeń francuskiej literatury humanistycznej i personalistycznej; chodzi zwłaszcza o „Humanisme integral” Martina, „Manifeste personaliste” Mouniera i wiele innych. Zwraca się więc Zajaczniewski do nowootwartej spółki wydawniczej „Pax”, aby wyrównała ona to dotkliwe zaniedbanie ze strony katolików polskich.

Sądzę, że postulatowi temu możemy wszyscy przyklasnąć. Ja chciałbym ze swej strony przypomnieć o innym pisarzu katolickim, którego zasadnicze dzieła również nie zostały wydane w języku polskim. Chodzi o Chestertona. Sądzę, że jestem wyrazicielem pragnień wielu polskich czytelników, gdy zwracam się do wydawnictw katolickich

(między innymi do spółki „Pax”) z prośbą o udostępnienie naszemu społeczeństwu wspaniałych książek Chestertona, zwłaszcza dwóch jego dzieł: filozoficznej: „Ortodoksji” i historyczno-filozoficznej: „Wiecznego człowieka”. Wiemy wszyscy, jak szybko zostało rozchwytane pierwsze wydanie „Świętego Franciszka z Asyżu”. Książki Chestertona mają niezwykły urok, zwłaszcza dla ludzi młodych. Potrafi on ukazywać rzeczy stare w zupełnie nowym świetle, jest obok Claudela największym w naszej epoce odkrywca poetyczności spraw codziennych. Łącząc prawdziwy racjonalizm z zdrowym romantyzmem, Chesterton jest szczególnie cenny dla kultury współczesnej. Jest wspaniałym wyrazicielem zarówno franciszkańskiej jak i dominikańskiej tradycji myśli katolickiej. Sądzę, że współcześni entuzjaści humanizmu chrześcijańskiego powinni widzieć w Chestertonie jednego ze swych patronów.

Tomasz Kowalski

Na rynku wydawniczym

DZIEŁA WYBITNEGO POLSKIEGO UCZONEGO

Dzieło polskiego uczonego prof. Józefa Kostrzewskiego pt. „Kultura prapolska”, które w kraju zyskało duży rozgłos i autorowi przyniosło nagrodę Polskiej Akademii Umiejętności, zainteresowało żywo sfery naukowe zagranicą.

Ostatnio prof. dr R. Jachimowicz dokonał tłumaczenia na język rosyjski i niebawem rozpocznie się druk tego dzieła.

Również prof. Hamel, z Uniwersytetu Grenoble w Szwajcarii, dokonał przekładu na język francuski. Będzie ono nosiło tytuł: „Les origines de la civilisation Polonaise”.

Dzieło prof. Kostrzewskiego wydane zostało przez zasłużony Instytut Zachodni w Poznaniu w 1947 i jest zupełnie wyczerpane. Jak nas Instytut informuje przygotowane jest drugie wydanie tego dzieła.

Pragniemy tu zaznaczyć, że nakładem zasłużonej Księgarni Uniwersyteckiej w Poznaniu ukazały się ostatnio dwie cenne prace znakomitego uczonego: „Prasłowiańszczyzna”, oraz „Pradzieje Polski” z XXV tabl. i 46 ryc.

Ostatnie dzieło przedstawia dzieje ziem polskich od chwili pojawienia się pierwszego człowieka w Polsce, aż do końca okresu przedhistorycznego.

Z lakonicznego wstępu dowiadujemy się, że znakomity uczoney pisał je w czasie okupacji hitlerowskiej, będąc całkowicie odcięty od swojego warsztatu pracy, bibliotek. Musiał ukrywać się przed Gestapo, które czyniło wszystko, aby dostać w swoje ręce historyka Słowiańszczyzny, który demaskował kłamstwa i szachrajstwa hitlerowskiej nauki.

St. P.

REALIZATOR WIELKICH ZAMIERZEN WYDAWNICZYCH

W ostatnią niedzielę obchodził dyr. Władysław Trzaska jubileusz 50-letniej pracy na niwie księgarsko - wydawniczej.

Może poszczycić się on największymi i najpiękniejszymi zbiorowymi dziełami, jakie posiada dotąd księgarstwo polskie w swoim wieloletnim dorobku wydawniczym. Wymieńmy choćby tylko: „Polska, jej dzieje i kultura” od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej, w opracowaniu najwybitniejszych historyków polskich (2.170 stron, 6.500 ilustracji). „Wielka Historia Powszechna”, opracowana przez przeszło 50 uczonych polskich, obejmująca całą historię począwszy od pradziejów aż do r. 1916 i stanowiąca jedynę tego rodzaju dzieło na świecie. „Wielka Literatura Powszechna”, zawierająca literatury Wschodu, klasyczną, średniowieczną, łacińską, romańskie, celtyckie, germańskie oraz historię literatur słowiańskich, i antologię wszystkich tych literatur w najlepszych przekładach, jakie ukazały się w Polsce.

Zyskała ona na Wystawie Światowej w Paryżu 1937 r. Grand Prix.

„Wielka Geografia Powszechna” w 17 tomach, oraz I-szy tom pierwszego w Polsce wielkiego dzieła antropologicznego „Człowiek, jego rasy i życie”, w opracowaniu grona profesorów z prof. J. Czekanowskim na czele.

A teraz kilka wydawnictw encyklopedycznych. „Encyklopedia Powszechna” w 2 tomach, „Encyklopedia dla wszystkich”, „Ilustrowany Leksikon”, „Encyklopedia XX wieku”, jako suplement do 5-cio tomowej „Encyklopedii Ilustrowanej”, „Encyklopedia Staropolska” w opracowaniu prof. A. Brücknera (1.000 str., blisko 4.000 ilustracji).

Trudno nie wymienić dwóch wielkich bibliotek, bodaj jedynych w Polsce: „Biblioteka Wiedzy” (48 tomów) i „Biblioteka Podróżnicza” (18 tomów).

Z końcem 1938 roku f-ma Trzaska podejmuje wydawnictwo „Biblioteki dnia dzisiejszego”.

Poza tym od 1934 r. f-ma wydaje miesięcznik „Nowa Książka”, poświęcony krytyce literackiej i naukowej oraz bibliografii.

Tuż przed wybuchem II-giej wojny światowej „Katalog wydawniczy” liczy 420 pozycji. W latach okupacji wydawnictwo podzielił tragiczny los innych, przygotowuje się jednak skrzętnie do nowych wydawnictw, gromadzi dzieła, wspomaga autorów, zaopatruje bezinteresownie młodzież i profesorów w potrzebne podręczniki na tajnych kompletach uniwersyteckich.

Wybuch powstania zamienia w stertę popiołów cały dotychczasowy dorobek, nagromadzone rękopisy, plany wielu wielkich wydawnictw.

Po oswoobodzeniu stolicy Trzaska rozpoczyna pracę od nowa z niesłabnącą energią i inwencją. Powstają nowe wydawnictwa, które świetnie nawiązują do jego dorobku wydawniczego, a związane są z zagadnieniem odbudowy kraju. „Podręcznik Inżynierii”, „Podręcznik budowlany”, „Podręcznik Inżyniera Elektryka”.

Wydawnictwo kontynuuje „Bibliotekę Wiedzy” i „Bibliotekę Kultury” oraz liczne słowniki języka polskiego i obcych.

Koło Warszawskie Związku Księgarzy Polskich pragnąc uczcić jubileusz zebrało około 700 książek i ofiarowało je Państwowej Szkole Ogólnokształcącej w Ursusie pod Warszawą.

W uroczystościach jubileuszowych wzięło udział bardzo wielu naszych wybitnych uczonych profesorów i rektorów Uniwersytetów i Politechnik i Wyższych Szkół, przedstawiciele świata literackiego, artystycznego i wydawniczego.

Wszyscy zgodnie podkreślali ogromną zasługę Jubilata dla nauki, sztuki i kultury polskiej, jego niezmordowaną pracę, niewyczerpaną energię twórczą, inwencję i wielką szlachetną ambicję, aby nasze wydawnictwa książkowe nie czem nie ustępowały najlepszym światowym wydawnictwom, a nawet je przewyższały.

St. Podlewski